XIX-wieczna Łódź jako ziemia obiecana z powieści Władysława Reymonta



Mural „Ziemia obiecana” Macieja Bielewicza, powstały w maju 2025 roku z okazji 50-lecia filmu Andrzeja Wajdy, Łódź, ul. Piotrkowska 120, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Są miasta, które powstają powoli, przez stulecia gromadząc pamięć kolejnych pokoleń. Są też takie, które rodzą się niemal nagle, z ludzkiej przedsiębiorczości, ambicji i pragnienia sukcesu. Do tych drugich należała dziewiętnastowieczna Łódź. W ciągu kilku dziesięcioleci niewielkie miasteczko, otoczone polami

i lasami, przeobraziło się w potężny ośrodek przemysłowy. Tam, gdzie niedawno stały drewniane domy, wyrosły wielopiętrowe fabryki, pałace przypominające arystokratyczne rezydencje i całe dzielnice robotniczych mieszkań. Nad dachami unosiły się dymy kominów, a miasto żyło w rytmie maszyn, które nie znały odpoczynku.

Przybywali tu ludzie z różnych stron Europy. Polacy, Niemcy, Żydzi i Rosjanie. Jedni mieli kapitał, inni umiejętności, jeszcze inni tylko nadzieję, że właśnie tutaj odmieni się ich los. Dla wielu z nich Łódź była miejscem, gdzie można było zacząć od nowa, zdobyć majątek, awansować społecznie, wyrwać się z biedy i anonimowości.

W tym mieście, którego potęga wyrastała z marzeń, ale również z bezwzględnej walki o pieniądze, Władysław Reymont odnalazł temat jednej z najważniejszych powieści polskiej literatury — „Ziemi obiecanej”.



Władysław Stanisław Reymont, 1897, fot. autor nieznany, zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie / Polona, domena publiczna
*

Reymont i epos o Łodzi

Władysław Stanisław Reymont, urodzony w 1867 roku w Kobielach Wielkich, nie należał do pisarzy wychowanych w akademickich salonach. Zanim zdobył literackie uznanie, poznawał życie od jego najbardziej nieprzewidywalnej strony.

Uczył się krawiectwa, pracował na kolei, występował z wędrownymi zespołami teatralnymi. Obserwował ludzi, ich słabości, nadzieje i namiętności. Fascynowała go zarówno codzienność, jak i wielkie zbiorowe siły, które potrafią podporządkować sobie jednostkę.

W 1896 roku Reymont przyjechał do Łodzi, by z bliska przyjrzeć się miastu, które rosło w tempie niespotykanym na ziemiach polskich. Przez kilka miesięcy obserwował jego życie, poznawał ludzi, fabryki i mechanizmy rodzących się fortun. Łódź fascynowała go swoją energią, lecz jednocześnie budziła niepokój. W liście do Jana Lorentowicza z 5 listopada 1896 roku pisał o rozroście miasta, fortun i interesów „z iście amerykańską szybkością". Widział w niej niepohamowaną potęgę ekonomiczną, nazywając ją „wielkim, trawiącym ludzi i ziemie żołądkiem". A jednak w tym niespokojnym, wielonarodowym świecie odnajdywał niezwykłą siłę literacką. „Łódź – to epos dla mnie" — wyznał Lorentowiczowi.

To niezwykłe spojrzenie na miasto znalazło wyraz w powieści. Łódź nie jest w niej tylko miejscem wydarzeń. Staje się osobnym bohaterem, żywiołem, który narzuca ludziom swoje prawa. Wciąga ich w nieustanny ruch, obiecuje bogactwo, ale żąda za nie wysokiej ceny. Z obserwacji przemysłowej metropolii Reymont stworzył epopeję nowoczesnego kapitalizmu, w której ludzkie marzenia, ambicje i namiętności splatają się z

bezwzględnymi prawami pieniądza.

„Ziemia obiecana” ukazywała się w odcinkach w latach 1897–1898, a w 1899 roku została wydana w formie książkowej. Ćwierć wieku później Reymont otrzymał Literacką Nagrodę Nobla za „Chłopów”, wielką epopeję polskiej wsi. Te dwa dzieła, tak odległe tematycznie, łączy niezwykła umiejętność ukazywania całych społeczności, ich konfliktów, obyczajów i walki o przetrwanie.



Pałac Karola i Anny Scheiblerów w Łodzi, obecnie siedziba Muzeum Kinematografii, fot. Jacek Gwizdka



Pałac Karola i Anny Scheiblerów w Łodzi, obecnie siedziba Muzeum Kinematografii. Zabytkowe wnętrza pałacu wykorzystano podczas realizacji „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy, fot. Jacek Gwizdka

*

Łódź pod carskim panowaniem

Historia przemysłowej Łodzi jest tym bardziej niezwykła, że miasto rozwijało się w państwie, którego nie było na mapie politycznej Europy. Polska znajdowała się pod zaborami, a Łódź

leżała w Królestwie Polskim, pozostającym pod panowaniem rosyjskim.

Rozwój miasta był ściśle związany z gospodarką imperium. Olbrzymie rynki wschodnie dawały łódzkim fabrykantom możliwości zbytu, o jakich nie mogli marzyć właściciele niewielkich warsztatów tkackich. Jednocześnie przemysłowcy musieli liczyć się z polityką rosyjskich władz, ich decyzjami administracyjnymi, cłami i ograniczeniami komunikacyjnymi.

Na początku XIX wieku Łódź liczyła zaledwie kilkuset mieszkańców. Pod koniec stulecia było ich już ponad trzysta tysięcy. Rozwój dokonywał się w tempie, które budziło podziw, ale też niepokój.

W mieście powstawały wielkie przedsiębiorstwa Karola Scheiblera, Izraela Poznańskiego, Ludwika Geyera i innych przemysłowców. Wraz z fabrykami wyrastały rezydencje właścicieli, szpitale, szkoły, kościoły, synagogi i robotnicze osiedla. Zamożność sąsiadowała z biedą, a wielokulturowość z rywalizacją o ekonomiczne wpływy.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online. Jeszcze przez ponad 100 lat pracowano na tych samych maszynach co za czasów Izaaka Poznańskiego, m.in. w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego.

*

Łódź – przemysłowe imperium włókiennicze

Reymontowskie porównanie rozwoju Łodzi do Ameryki nie było przypadkowe. Dziewiętnasty wiek przyniósł po obu stronach Atlantyku narodziny nowych miast przemysłowych, których dynamika zdawała się przeczyć dotychczasowym prawom historii.

W Stanach Zjednoczonych podobne zjawisko można było obserwować w Lowell w stanie Massachusetts, jednym z najważniejszych ośrodków amerykańskiego przemysłu włókienniczego. Nad rzeką Merrimack powstały wielkie przędzalnie i tkalnie, napędzane energią wodną, a później także parową. Do miasta przybywały młode kobiety z wiejskich rodzin, szukające pracy i niezależności finansowej, następnie zaś kolejne fale imigrantów. Lowell stało się symbolem amerykańskiej rewolucji przemysłowej — jej niezwykłych możliwości, ale również napięć społecznych.

W Pittsburghu w Pensylwanii fortuny powstawały na stali i żelazie. W Chicago, rozwijającym się dzięki kolejom, handlowi zbożem i przemysłowi mięsnym, tempo wzrostu przywoływało obraz miasta budowanego niemal z dnia na dzień. Amerykańscy przedsiębiorcy, tacy jak Andrew Carnegie czy John D. Rockefeller, stawali się symbolami epoki, w której kapitał potrafił zmieniać nie tylko krajobraz, ale również społeczną hierarchię.

Łódź nie była amerykańskim miastem. Nie miała politycznej swobody ani tych samych warunków gospodarczych. Pozostawała częścią rosyjskiego imperium i rozwijała się w odmiennych realiach społecznych. A jednak istniało między tymi światami uderzające podobieństwo.

Po obu stronach Atlantyku utrwalał się mit człowieka, który

własną energią i przedsiębiorczością może stworzyć fortunę. Mit awansu, samodzielności i nieograniczonych możliwości. W Ameryce przybrał on z czasem nazwę **American Dream**. W Łodzi była to **Ziemia Obiecana**.

Było też podobieństwo mniej romantyczne. W obu światach olbrzymim bogactwom towarzyszyły głębokie nierówności społeczne, ciężkie warunki pracy i konflikty między właścicielami fabryk a robotnikami.

*

Bawełna z Ameryki – nić łącząca kontynenty

Był jednak między Łodzią a Ameryką związek znacznie bardziej konkretny niż podobieństwo gospodarczych ambicji. Tym związkiem była bawełna.

Podstawowy surowiec łódzkiego przemysłu włókienniczego trzeba było sprowadzać z daleka. Jednym z jego głównych źródeł były Stany Zjednoczone, a zwłaszcza południowe stany, gdzie rozciągały się wielkie plantacje bawełny.

Teksas należał do regionów uczestniczących w tym międzynarodowym handlu. Bawełna trafiała do portów, przepływała Atlantyk, przechodziła przez ręce europejskich

kupców i pośredników, by ostatecznie zasilać fabryki kontynentu.

Łódzki przemysł był więc zależny od dostaw amerykańskiego surowca. Uświadomiła to boleśnie wojna secesyjna, która wybuchła w 1861 roku.

Blokada portów Konfederacji i przerwanie dostaw doprowadziły w Europie do tak zwanego głodu bawełnianego. Kryzys dotknął również Łódź. W styczniu 1862 roku zakłady Ludwika Geyera zaprzestały produkcji, między innymi z powodu braku surowca.

Trudno o bardziej wymowny obraz dziewiętnastowiecznej globalizacji. Od plantacji na amerykańskim Południu po fabryki Łodzi rozciągała się niewidzialna sieć ekonomicznych zależności, łącząca kontynenty, ludzi i ich losy.



Sobór św. Aleksandra Newskiego w Łodzi, wybudowany w latach 1879–1884 według projektu Hilarego Majewskiego, fot. Stevenlodz, Wikimedia Commons, CC BY-SA 4.0

*

Kolej, cerkiew i polityka wielkich fortun

Szybki rozwój przemysłu wymagał sprawnego transportu. Tymczasem Łódź przez długi czas pozostawała pozbawiona bezpośredniego połączenia kolejowego. Bawełnę, węgiel i

maszyny trzeba było przewozić wozami konnymi ze stacji znajdujących się poza miastem. Jednym z takich punktów były Rokiciny przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Dla przedsiębiorców był to ogromny problem. Rozrastające się fabryki potrzebowały coraz większych ilości surowców, a wyprodukowane tkaniny musiały docierać do odległych odbiorców. Łódzcy przemysłowcy zabiegali więc o budowę linii kolejowej.

Dopiero w 1865 roku car Aleksander II zezwolił na połączenie Łodzi z Koluszkami. Wkrótce uruchomiono przewozy towarowe, a w następnym roku pasażerskie. Powstanie Kolei Fabryczno-Łódzkiej otworzyło nowy rozdział w gospodarczej historii miasta.

Nieopodal Dworca Fabrycznego stoi do dziś prawosławna cerkiew św. Aleksandra Newskiego, której bogato dekorowana bryła przypomina o czasach rosyjskiego panowania.

Jej powstanie wiąże się z politycznymi realiami epoki. W 1879 roku, po nieudanym zamachu na cara Aleksandra II, podjęto decyzję o wzniesieniu świątyni. Wśród fundatorów znaleźli się najbogatsi łódzcy przedsiębiorcy, między innymi Karol Scheibler i Izrael Poznański. Cerkiew, zaprojektowana przez Hilarego Majewskiego, została ukończona i poświęcona w 1884 roku.

W mieście, w którym spotykały się różne narodowości i religie, pieniądz często okazywał się językiem wspólnym. Ekonomiczny pragmatyzm potrafił przekraczać granice wyznaniowe i narodowe, nie znosząc jednak zależności politycznych ani społecznych nierówności.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online

*

Ziemia obiecana – między biblijną nadzieją a złudzeniem bogactwa

Tytuł powieści Reymonta ma swoje źródło w Biblii. Ziemia

obiecana, Kanaan, była miejscem, ku któremu Mojżesz prowadził Izraelitów — symbolem nadziei, wolności i spełnienia Bożej obietnicy.

W dziewiętnastowiecznej Łodzi słowa te nabierają przewrotnego znaczenia.

Dla tysięcy przybyszów miasto miało być miejscem spełnienia marzeń. Nie trzeba było dziedziczyć wielkiej fortuny, by wyobrażać sobie, że któregoś dnia zostanie się fabrykantem. Wystarczyć miały odwaga, pomysłowość, wytrwałość i odrobina szczęścia.

Ale Reymont pokazuje, jak łatwo obietnica szczęścia zamienia się w pogoń za pieniądzem, a sukces w siłę niszczącą ludzkie relacje.

Bohaterowie powieści — Polak Karol Borowiecki, Niemiec Maks Baum i Żyd Moryc Welt — należą do trzech różnych światów kulturowych, lecz łączy ich jedno marzenie: założyć własną fabrykę i zdobyć majątek.

Ta przyjaźń i wspólne przedsięwzięcie stają się metaforą wielonarodowej Łodzi. Zarazem Reymont przedstawia miasto, w którym tradycyjne wartości stopniowo ustępują logice zysku. Honor, lojalność, miłość, a nawet ludzkie życie mogą stać się

elementami ekonomicznej kalkulacji.

Pisarz nie tworzy jednak prostego moralitetu o złych bogaczach i dobrych biednych. Jego bohaterowie są uwikłani w mechanizmy świata, który sami współtworzą. Pieniądz daje im wolność, ale jednocześnie coraz silniej ich zniewala.

To właśnie ten paradoks nadaje Ziemi obiecanej ponadczasowy wymiar.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online. przed wejściem do dawnej fabryki Izaaka Poznańskiego.

*

Andrzej Wajda i jego adaptacja „Ziemi obiecanej”

Ponad siedemdziesiąt lat po ukazaniu się powieści do świata Reymonta powrócił Andrzej Wajda. Jego monumentalna ekranizacja, zrealizowana w 1974 roku, weszła na ekrany kin w lutym 1975 roku i stała się jednym z najwybitniejszych osiągnięć polskiej kinematografii. Film otrzymał nominację do Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego.

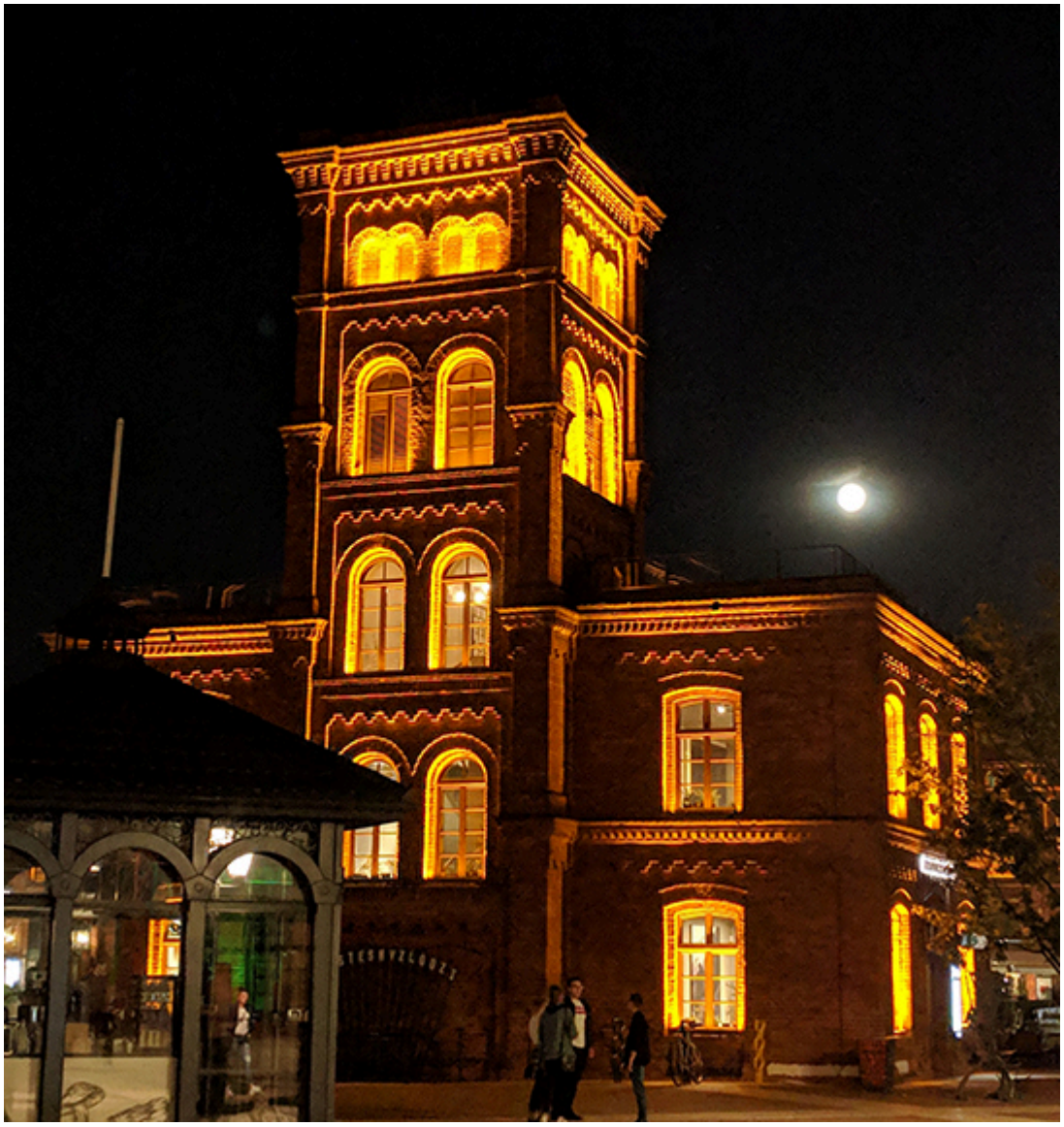
Daniel Olbrychski jako Karol Borowiecki, Wojciech Pszoniak jako Moryc Welt i Andrzej Seweryn jako Maks Baum stworzyli niezapomniane kreacje. Zdjęcia Witolda Sobocińskiego, Edwarda Kłosińskiego i Wacława Dybowskiego oraz muzyka Wojciecha Kilara nadały filmowi niezwykłą ekspresję. Łódź znów stała się jego pełnoprawnym bohaterem — miastem ruchu, hałasu, ognia, przepychu i ludzkiego cierpienia.

Wajda nie ograniczył się do wiernego przeniesienia literatury na ekran. Nadał opowieści własną interpretację, szczególnie widoczną w sposobie przedstawienia Karola Borowieckiego i w zakończeniu.

U Reymonta bohater, mimo moralnych kompromisów i zdobytego bogactwa, dochodzi ostatecznie do bolesnej refleksji nad zmarnowanym życiem. Dostrzega możliwość odnalezienia sensu w działaniu dla innych. W filmie Wajda odbiera mu tę

perspektywę moralnego odkupienia. Jego Borowiecki pozostaje człowiekiem podporządkowanym logice kapitału, a finałowa scena brutalnego stłumienia robotniczego protestu nadaje całej historii znacznie ostrzejszy wymiar społeczny i polityczny.

Wajda patrzył na XIX-wieczną Łódź także przez doświadczenia XX wieku, w tym przez pamięć robotniczych protestów i przemocy władz komunistycznych. Powstało dzieło, które nie tylko odczytywało na nowo powieść Reymonta, ale również mówiło o czasach współczesnych reżyserowi.



Manufaktura, obecny kompleks artystyczno-handlowy w dawnej fabryce Izaaka Poznańskiego, fot. Jacek Gwizdka

*

Artyści w pofabrycznych przestrzeniach

Dawna przemysłowa Łódź przeminęła, ale jej ślady wciąż są obecne w krajobrazie miasta. Monumentalne fabryki Scheiblera i Poznańskiego, pałace przemysłowców, robotnicze osiedla Księżego Młyna, kościoły, cerkwie i dawne synagogi

przypominają o czasach, kiedy miasto było jednym z najważniejszych ośrodków włókienniczych tej części Europy.

Dzisiaj dawne przestrzenie przemysłowe otrzymują nowe życie. W fabrycznych murach powstają muzea, galerie, uczelnie, mieszkania i miejsca spotkań. Łódź, która niegdyś produkowała tkaniny na ogromną skalę, coraz silniej buduje swoją tożsamość wokół kultury, sztuki, filmu i pamięci o własnej historii.

Można powiedzieć, że miasto po raz kolejny próbuje stworzyć własną ziemię obiecaną.

W powieści Reymonta pobrzmiewa pytanie, które nie straciło aktualności: czy człowiek rzeczywiście staje się szczęśliwszy, gdy osiąga wszystko, o czym marzył? Czy bogactwo oznacza wolność, czy może rodzi nowe zniewolenie? Czy wielki rozwój cywilizacyjny musi dokonywać się kosztem tych, którzy sami nie mają udziału w jego owocach?

Dylematy te łączyły dziewiętnastowieczną Łódź z amerykańskimi miastami przemysłowymi. I wciąż powracają wszędzie tam, gdzie ludzie wierzą, że sukces ekonomiczny stanie się odpowiedzią na wszystkie ich pragnienia.

Może właśnie dlatego „Ziemia obiecana” pozostaje dziełem tak żywym. Nie jest tylko opowieścią o dawnych fabrykantach,

kapitalizmie i Łodzi. Jest historią o ludzkiej naturze, o wielkości marzeń i o cenie, jaką jesteśmy gotowi zapłacić za ich spełnienie.

Artykuł powstał przy współpracy z ChatGPT (GPT-6, OpenAI) w zakresie wyszukiwania źródeł i weryfikacji informacji historycznych.

*

Zobacz też:

> 100-lecie Nagrody Nobla dla Władysława Reymonta za „Chłopów”

Źródła:

Archiwum Państwowe w Łodzi

Archiwum Państwowe w Łodzi – Łódzcy fabrykanci

Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

Mit Łodzi jako Ziemi Obiecanej

Prawosławna Diecezja Łódzko-Poznańska

Historia łódzkiej parafii prawosławnej

Texas State Historical Association

Autorzy: Karen Gerhardt Britton, Fred C. Elliott, E. A. Miller.

Cotton Culture – Handbook of Texas

Texas State Historical Association

Autorzy: Jack Becker, Matthew K. Hamilton.

Wartime Cotton Trade – Handbook of Texas

Texas State Historical Association

Antebellum Texas – Handbook of Texas

National Park Service

Autor: Thomas Dublin.

Lowell: The Story of an Industrial City

National Park Service

The Mill Girls of Lowell

Władysław Stanisław Reymont, Ziemia obiecana, 1899.

Władysław Stanisław Reymont, Korespondencja 1890–1925, opracowanie i wstęp Barbara Koc, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2002, s. 208–209.

Dorota Samborska-Kukuć, „Reymonta osobiste i literackie spotkania z Łodzią", Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica, nr 1 (68), 2024.

Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny

Ziemia obiecana – FINA

Andrzej Wajda — oficjalna strona reżysera

Ziemia obiecana – Andrzej Wajda

Akademia Polskiego Filmu

Ziemia obiecana – Akademia Polskiego Filmu

Culture.pl

Kalendarium życia Andrzeja Wajdy

Soft as Wax, Hard as Steel



Krystyna Wituska, photo: Tomasz Steppa’s archive

Maria Duszka

It was the late 1960s. The book *On the Border Between Life and Death: Letters and Secret Prison Notes of Krystyna Wituska* was passed from house to house, from hand to hand. It was probably read, one after another, by nearly everyone in Małyń and Jeżew, villages in the Zadzim municipality of Poddębice County. I was no more than ten years old at the time, and although it was certainly not a book intended for children, I read it too. What I remember finding most puzzling was that this young woman, held in a German prison and sentenced to death, asked her parents to send her stockings and a silk dress. I imagined that in such circumstances one would not think about such small things.

Krystyna Wituska was born on May 12, 1920, in Jeżew, a village that at the time belonged to the Krokocice municipality in Sieradz County. Her parents, Maria and Feliks Wituski, owned the estates of Jeżew and Kłoniszew. When she was ten years old, she and her older sister were sent to a school run by the Ursuline Sisters in Poznań. She completed the lower-secondary school leaving examination at Queen Jadwiga Gymnasium in Warsaw. When she began suffering from tuberculosis, her parents sent her first to Zakopane and later to Switzerland. She returned to Poland shortly before the outbreak of the war.

In 1940, her family was expelled from Jeżew. Feliks Wituski became the administrator of an estate in Kałęczew near Głowno, and later in Brwinów. Krystyna settled in Warsaw. Probably in 1941, she became involved with the Union of Armed Struggle, an underground organization later transformed into the Home Army. Her work involved establishing contacts with German soldiers and obtaining information from them about the weapons and strength of their units.

She was arrested in October 1942. The Germans found on her the addresses of two young women who worked with her, Maria Kacprzykówna and Wanda Kamińska. All three were imprisoned in Pawiak Prison and, after several days, transferred to Berlin. At first they were held in the prison on Alexanderplatz; later they were moved to Alt-Moabit.

*



Church of St. Andrew the Apostle in Małyń, photo: Maria Duszka

CHAMOMILE FLOWERS IN A GLASS

A total of 76 letters and secret prison notes written by Krystyna have survived. She wrote them to her parents, her sister, and her friends. She tried not to show discouragement; instead, she did everything she could to keep up the spirits of those closest to her. She was extraordinarily brave and composed. Her candor and emotional maturity are striking. Until the very end, she remained sensitive to fragments of beauty and to small acts of kindness and goodwill.

The women sharing her cell changed frequently. Close friendships formed quickly, including among women of different nationalities. And sometimes they ended just as quickly. None of the imprisoned women was released—some were sentenced to death, others were sent to concentration camps. For Krystyna,

being separated from them became an additional source of suffering.

On February 14, 1943, she wrote from Alt-Moabit:

“Two trees grow outside my window, and I can also see a small patch of sky. A tiny spider lives in the corner of my cell—he is my only companion. Dear Mother, this letter would be infinitely long if I tried to describe all the thoughts that run through my mind during the day. Soon I will become a philosopher in this solitude.”

Two weeks later, she wrote:

“Walking around the courtyard during our free hour, I look up at the sky, watch the clouds drifting above the high prison walls, and somehow I smile with joy. I feel sorry for people who see far more beautiful views every day but do not know how to take joy in them because their hearts are too narrow or too cold.”

In another letter she wrote:

“It would be comforting to believe that on the other side one will find again all those one has loved, because can such a powerful feeling as love simply disappear?” (…) “Death is a deliverance for all people.”

And yet she was still able to take pleasure in small things:

“Thank you very much for the dress and the other things. Today I dressed up in it for chapel and looked very elegant.”

And on another occasion:

“We have four chamomile flowers in a glass in our cell. They are the first flowers we have had in prison, and it seems to us that we have never seen anything more beautiful.”

Despite the nightmare in which she lived for nearly two years, toward the end of her life she wrote:

“Do not think, however, that these tragic experiences have made me melancholy. On the contrary, I have learned to take joy in life and to regard every beautiful hour as a gift from heaven.”

On April 19, 1943, the Military Court of the Third Reich sentenced her to death by guillotine “for espionage and complicity in the crime of high treason.” In the same trial, Maria Kacprzyk was sentenced to eight years and Wanda Kamińska to three years in a penal camp. Both women survived the war.

Krystyna tried to come to terms with her situation and to distance herself from it as much as possible. Even after receiving

her sentence, she sought to comfort those closest to her:

“People on the outside imagine that someone sentenced to death loses their mind with fear and despair. In reality, however, it is quite different. Perhaps because it seems impossible to comprehend. (…) Just be brave, my dearest Mother, always hold your head high, and forgive me for having done something like this to you. (…) Mother, send me my navy-blue silk dress and some hair-washing powder again. I shall remain vain forever, and even on my last day I will curl my hair.”

In a letter to the mother of her fiancé, Zbigniew Walc, she wrote:

“I do not feel unhappy knowing that I must die; after all, all people live with that knowledge, the only difference being that they do not know the hour. (…) The most important thing is to maintain one’s composure to the very end, not to allow some animal instinct for survival to take over at the last moment, not to be afraid of that single second of physical pain.”

Yet in one of her letters to a German friend, she confessed:

“I want to get out of these four walls that I keep circling slowly, over and over again—to go out and meet life! From time to time, when I think that everything inside me has already died, that wild longing comes over me again.”

In December 1943, Krystyna was transferred to the prison in Halle/Saale. Her spirits deteriorated considerably at that time. Probably in order to occupy her mind and keep herself from sinking into despair, during this final period of her life she devoted herself intensively to learning Italian and shorthand.

In her farewell letter to her parents, she wrote:

“I am completely calm. Believe me, I will remain calm until the very last moment. My final duty toward Poland and toward you is to die bravely!”

On June 26, 1944, she was executed by guillotine. She was 24 years old. Her body was buried in a mass grave at the Gertraudenfriedhof Cemetery in Halle/Saale.

One of the guards at Alt-Moabit Prison was Hedwig Grimpe. She had been assigned there under compulsory labor regulations. She opposed fascist ideology, sympathized with the prisoners, and, as far as she was able, treated them with kindness. She brought them food, medicine, and cigarettes. She became friends with Krystyna. After Krystyna’s death, Helga, Hedwig’s daughter, wrote a moving letter to Maria Wituska on her mother’s behalf.

And what happened to Zbigniew Walc? He was sent to the

Mittelbau-Dora concentration camp. In early April 1945, as American troops approached, the prisoners were evacuated by train. Because the railway tracks had been destroyed, the transport stopped at Gardelegen near Magdeburg. There, the Germans locked approximately one thousand prisoners inside a brick barn and set it on fire. Zbigniew Walc was among them.

*



Chapel of the Wituski family, of the Gozdawa coat of arms, in Małyń, photo: Maria Duszka

THE *POLITYKA* AWARD AND A TELEVISION THEATRE PRODUCTION

In 1968, the State Publishing Institute published the book I mentioned earlier, *On the Border Between Life and Death: Letters and Secret Prison Notes of Krystyna Wituska*, edited by Wanda Kiedrzyńska, a historian and former prisoner of the Ravensbrück concentration camp. That same year, Krystyna was

posthumously awarded first prize by the weekly magazine *Polityka* in the category “Diaries, Accounts, Memoirs.” Two years later, a second, expanded and revised edition was published.

In 1978, *My Beautiful Birthday*, a Television Theatre production based on the book, premiered. Krystyna was played by Jadwiga Jankowska-Cieślak, while her parents were portrayed by Ryszarda Hanin and Piotr Pawłowski. Unfortunately, the production is not available online, so we can only hope that it will one day be rebroadcast on television.

On March 26, 2010, President Lech Kaczyński posthumously awarded Krystyna Wituska the Commander’s Cross of the Order of Polonia Restituta for her outstanding contribution to the independence of the Republic of Poland. The decoration was presented by Maria Kaczyńska to Krystyna’s nephew, Mikołaj Tomasz Steppa.

In April 2025, the exhibition *The Reich Court-Martial 1936–1945: National Socialist Military Justice and the Suppression of Resistance in Europe* opened at the Museum of Cursed Soldiers and Political Prisoners of the Polish People’s Republic in Warsaw. Krystyna Wituska was one of the figures featured prominently in the exhibition.

Krystyna Wituska’s story has also attracted considerable interest

in Germany. In 2014, on the 70th anniversary of her death, an obelisk was erected in Halle. It bears a relief depicting her face. The anniversary of her death—June 26—is commemorated there every year as a day of remembrance for all victims of Nazism who were executed in the city.

In 2019, the writer Simone Trieder published a book in Germany about Krystyna and her fiancé, *Nik und Tina: Gefährliche Briefe 1938–1944* (*Nik and Tina: Dangerous Letters 1938–1944*). It is a nonfiction account of letters discovered in the 1960s during renovation work at the manor house in Jeżew and of the story of Krystyna and Zbigniew's engagement.

*



Krystyna Wituska Primary School in Małyń, photo: Maria Duszka

IN HER HOME REGION

In 1938, a school—then commonly referred to as an elementary school—opened in Małyń. The initiative to build it came from Feliks Wituski. In 1984, the Primary School was named after Krystyna Wituska. Unfortunately, 25 years later, it was closed.

On February 27 of this year, a commemorative plaque dedicated to Krystyna Wituska was unveiled at the Primary School in Zygry, which is now also attended by children from Małyń. The plaque was funded by the Łódź Branch of the Institute of National Remembrance. Mikołaj Tomasz Steppa was also invited to attend the ceremony. It was about him that Krystyna once wrote in a letter to her sister: “Little sister, raise your son in the spirit of peace; may he never become a soldier. War is cruel and terrible.”

One of Krystyna’s school friends once described her in her diary with the words: “Soft as wax, hard as steel.” Time proved this to be an exceptionally accurate characterization.

In one of her letters to her family, Krystyna wrote: “If I had literary talent, I would immediately start writing a novel. It would certainly be tremendously interesting, sometimes tragic, but not without the sense of humor that never leaves us.” Well, she never wrote a novel, but she probably never imagined that her letters would one day be published. Nor that everyone who

read them would be deeply moved by her tragic fate and extraordinary personality.

The article was originally published in the Łódź cultural magazine Kalejdoskop*, No. 6/2026.*

*



Plaque commemorating Krystyna Wituska’s father, in the Wituski family burial chapel in Małyń, photo: Maria Duszka



Plaques commemorating Krystyna Wituska’s family, in the family burial chapel in Małyń, photo: Maria Duszka

Miękka jak wosk, twarda jak stal



Krystyna Wituska, fot. arch. Tomasza Steppy

Maria Duszka

To była końcówka lat sześćdziesiątych minionego wieku. Książka „Na granicy życia i śmierci. Listy i grypsy więzienne Krystyny Wituskiej” przechodziła z domu do domu, z rąk do rąk. Czytali ją po kolei chyba wszyscy mieszkańcy Małynia i Jeżewa, wsi położonych w gminie Zadzim w powiecie poddębickim. Miałam wtedy nie więcej niż dziesięć lat i choć to zdecydowanie nie była

lektura dla dzieci, także ją przeczytałam. Pamiętam, że najbardziej dziwiło mnie to, że przetrzymywana w niemieckim więzieniu, skazana na śmierć młoda dziewczyna, prosiła rodziców o przesłanie jej pończoch i jedwabnej sukienki. Wyobrażałam sobie, że w takiej sytuacji nie myśli się o drobiazgach.

Krystyna Wituska urodziła się 12 maja 1920 r. w Jeżewie, wsi należącej wówczas do gminy Krokocice w powiecie sieradzkim. Jej rodzice, Maria i Feliks Wituscy, byli właścicielami majątków Jeżew i Kłoniszew. Kiedy miała dziesięć lat, wysłano ją i jej starszą siostrę do szkoły prowadzonej przez zakon urszulanek w Poznaniu. Małą maturę zdobyła w Gimnazjum Królowej Jadwigi w Warszawie. Ponieważ zaczęła chorować na gruźlicę, rodzice wysłali ją najpierw do Zakopanego, a potem do Szwajcarii. Wróciła do kraju tuż przed wybuchem wojny. W 1940 r. jej rodzinę wysiedlono z Jeżewa. Feliks Wituski został administratorem majątku w Kałęczewie koło Głowna, a potem w Brwinowie. Krystyna zamieszkała w Warszawie. Prawdopodobnie w 1941 r. zaczęła działać w Związku Walki Zbrojnej, organizacji przekształconej później w Armię Krajową. Jej praca polegała na nawiązywaniu kontaktów z niemieckimi żołnierzami i wydobywaniu od nich informacji dotyczących uzbrojenia i liczebności ich oddziałów. Została aresztowana w październiku 1942 r. Niemcy znaleźli przy niej adresy dwóch współpracujących z nią koleżanek: Marii Kacprzykówny i Wandy

Kamińskiej. Wszystkie trzy dziewczyny trafiły na Pawiak, a po kilku dniach zostały przewiezione do Berlina. Początkowo przetrzymywano je w więzieniu znajdującym się przy Alexanderplatz, potem trafiły do Alt-Moabit.

*



Kościół pod wezwaniem św. Andrzeja Apostoła w Małyniu, fot. Maria Duszka

RUMIANKI W SZKLANCE

Zachowało się w sumie 76 listów i grypsów więziennych Krystyny. Pisała je do rodziców, siostry i przyjaciół. Starała się nie okazywać przygnębienia, a raczej czyniła wszystko, aby podtrzymywać na duchu swoich bliskich. Była osobą niezwykle

dzielną i opanowaną. Uderzająca jest jej szczerość i dojrzałość emocjonalna. Do końca doceniała okruchy piękna, drobne przejawy dobroci i życzliwości. Skład osobowy celi, w której przebywała często się zmieniał. Szybko rodziły się serdeczne przyjaźnie, także między przedstawicielkami różnych nacji. I czasem równie szybko się kończyły. Bo żadna z uwięzionych kobiet nie wychodziła na wolność – jedne skazywano na śmierć, inne były zsyłane do obozów koncentracyjnych. Dla Krystyny rozłąka z nimi była źródłem dodatkowych cierpień.

14 lutego 1943 pisała z Alt-Moabit: „Przed moim oknem rosną dwa drzewa, widać też kawałeczek nieba. W kącie mojej celi mieszka mały pajączek – jest to jedyny mój towarzysz. Kochana Mamusiu, list byłby nieskończenie długi, gdybym chciała Ci opisać wszystkie myśli, które przebiegają mi przez głowę w ciągu dnia. Wkrótce stanę się filozofem w tej samotności”.

Dwa tygodnie później: „Spacerując na podwórzu podczas wolnej godziny, patrzę na niebo, widzę przeciągające chmury ponad wysokimi murami więzienia i uśmiecham się jakoś radośnie. Żal mi ludzi, którzy każdego dnia oglądają o wiele piękniejsze widoki, ale nie umieją się nimi radować, bo mają zbyt ciasne albo zbyt zimne serca”.

W innym liście pisała: „Przyjemnie byłoby wierzyć, że po tamtej stronie odnajdzie się wszystkich, których się kochało, bo przecież

czy możliwe, żeby ot, tak zginęło tego rodzaju potężne uczucie jak miłość?” (…) „Śmierć jest wybawieniem dla wszystkich ludzi”.

Potrafi jednak cieszyć się drobiazgami: „Za sukienkę i inne rzeczy bardzo dziękuję, dzisiaj wystroiłam się w nią do kaplicy i wyglądałam bardzo wytwornie”.

A innym razem: „Mamy w celi w szklance cztery rumianki, to są pierwsze nasze kwiatki w więzieniu i wydaje nam się, że nigdy nie widziałyśmy nic piękniejszego”.

Pomimo koszmaru, w jakim funkcjonowała przez prawie dwa lata, pod koniec życia pisała: „Nie myślcie jednak, że tragiczne przeżycia nastroiły mnie tak melancholijnie. Przeciwnie, nauczyłam się cieszyć życiem, uważać każdą piękną godzinę za dar nieba”.

19 kwietnia 1943 r. Sąd Wojenny III Rzeszy skazał ją „za szpiegostwo i współdziałanie w zbrodni zdrady stanu” na karę śmierci przez ścięcie na gilotynie. W tym samym procesie Marię Kacprzyk skazano na 8, a Wandę Kamińską na 3 lata obozu karnego. Obie kobiety przeżyły wojnę.

Krystyna starała się pogodzić ze swoją sytuacją, podejść do niej z jak największym możliwym dystansem. Już po otrzymaniu

wyroku pocieszała bliskich: „Ludzie z zewnątrz wyobrażają sobie, że ktoś skazany na śmierć odchodzi od zmysłów ze strachu i rozpaczy. W rzeczywistości jednak jest zupełnie inaczej. Może dlatego, że to wydaje się nie do pojęcia. (…) Bądź tylko mężna, moja najlepsza Mamusiu, trzymaj zawsze głowę do góry i wybacz mi, że Ci coś takiego mogłam uczynić.(…) Mamusiu, przyślij mi granatową jedwabną sukienkę i znów proszek do mycia głowy. Pozostanę na zawsze próżną i nawet ostatniego dnia zakręcę sobie loki”.

A w liście do mamy swojego narzeczonego, Zbigniewa Walca, pisała: „Nie czuję się nieszczęśliwa świadomością, że muszę umierać, tę świadomość mają przecież wszyscy ludzie, z tą różnicą, że nie znają jej godziny. (…) Najważniejsza rzecz – to postawę zachować do końca, nie dać się opanować w ostatniej chwili jakiemuś zwierzęcemu instynktowi życia, nie zlęknąć się tej sekundy fizycznego bólu”.

W jednym z listów do niemieckiej przyjaciółki wyznała jednak: „Ja chcę wyjść z tych czterech ścian okrążanych wolno w kółko – życiu naprzeciw! Od czasu do czasu, gdy myślę, że już we mnie wszystko wymarło, nachodzi mnie znów ta dzika tęsknota”.

W grudniu 1943 r. przewieziono Krystynę do więzienia w Halle/Saale. Jej nastrój znacznie się wówczas pogorszył. Zapewne, aby zająć czymś myśli i nie pogrążać się w rozpaczy, w

tym ostatnim okresie życia intensywnie uczyła się języka włoskiego i stenografii.

W pożegnalnym liście do rodziców napisała: „Jestem zupełnie spokojna, wierzcie mi, że zostanę spokojna do ostatniej chwili. Mój ostatni obowiązek względem Polski i Was – to umrzeć dzielnie!”

26 czerwca 1944 r. została ścięta na gilotynie. Przeżyła 24 lata. Jej ciało pochowano w zbiorowej mogile na cmentarzu Getraudenfriedhof w Halle/Saale.

Jedną ze strażniczek w więzieniu Alt–Moabit była Hedwig Grimpe. Trafiła tam z nakazu pracy. Była przeciwniczką ideologii faszystowskiej, współczuła więźniarkom i, na ile to było możliwe, okazywała im swoją życzliwość. Dostarczała im żywność, lekarstwa i papierosy. Zaprzyjaźniła się z naszą bohaterką. Po śmierci Krystyny, Helga, córka Hedwig, napisała w imieniu swojej matki wzruszający list do Marii Wituskiej.

A Zbigniew Walc? Trafił do obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora. Na początku kwietnia 1945 r., z powodu zbliżania się wojsk amerykańskich, ewakuowano więźniów pociągami. Ponieważ tory zostały zniszczone, transport zatrzymał się w Gardelegen w pobliżu Magdeburga. Tam Niemcy zamknęli i spalili w murowanej stodole około tysiąca więźniów. Był wśród

nich Zbigniew Walc.

*



Kaplica rodziny Wituskich herbu Gozdawa w Małyniu, fot. Maria Duszka

NAGRODA „POLITYKI” I SPEKTAKL TEATRU TELEWIZJI

W 1968 r. w Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazała się opracowana przez Wandę Kiedrzyńską (historyczkę, więźniarkę obozu w Ravensbrück) wspomniana już przeze mnie książka pt. „Na granicy życia i śmierci. Listy i grypsy więzienne Krystyny Wituskiej”. W tym samym roku nasza bohaterka otrzymała za nią pośmiertnie pierwszą nagrodę tygodnika „Polityka” w kategorii „Pamiętniki, relacje, wspomnienia”. Dwa lata później ukazało się wydanie drugie rozszerzone i poprawione.

W 1978 r. odbyła się premiera zrealizowanego na podstawie tej książki spektaklu telewizyjnego „Mój piękny dzień urodzin”. Rolę Krystyny zagrała Jadwiga Jankowska–Cieślak, a jej rodziców Ryszarda Hanin i Piotr Pawłowski. Niestety, spektakl nie jest dostępny w Internecie, pozostaje nam jedynie liczyć na jego powtórzenie w którymś z programów telewizyjnych.

26 marca 2010 r. prezydent Lech Kaczyński nadał Krystynie Wituskiej Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej. Odznaczenie przyjął z rąk Marii Kaczyńskiej, siostrzeniec Krystyny, Mikołaj Tomasz Steppa.

W kwietniu 2025 r. w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie została otwarta wystawa „Sąd Wojenny Rzeszy 1936–1945. Narodowosocjalistyczne sądownictwo wojskowe i zwalczanie ruchu oporu w Europie”. Jedną z postaci wyeksponowanych na wystawie była nasza bohaterka.

Postać Krystyny Wituskiej budzi również duże zainteresowanie w Niemczech. W 2014 r., w 70 rocznicę jej śmierci, postawiono w Halle obelisk. Umieszczono na nim płaskorzeźbę przedstawiająca jej twarz. A dzień jej śmierci – 26 czerwca – jest co roku uroczyście obchodzony jako dzień pamięci wszystkich ofiar nazizmu straconych w tym mieście.

Pisarka Simone Trieder w 2019 r. opublikowała w Niemczech książkę o Krystynie i jej narzeczonym „Nik und Tina: Gefährliche Briefe 1938 –1944″ („Nik i Tina: Niebezpieczne listy 1938-1944”). To reportaż o listach znalezionych w latach sześćdziesiątych podczas remontu dworu z Jeżewie i o historii narzeczeństwa Krystyny i Zbigniewa.

*



Szkoła Podstawowa w Małyniu, nosząca imię Krystyny Wituskiej, fot. Maria Duszka
W RODZINNYCH STRONACH

W 1938 r. w Małyniu została oddana do użytku szkoła (nazywana wówczas powszechną). Inicjatorem jej budowy był Feliks Wituski. W 1984 r. Szkoła Podstawowa otrzymała imię Krystyny

Wituskiej. Niestety, 25 lat później została zlikwidowana.

27 lutego br. w Szkole Podstawowej w Zygrach (do której uczęszczają obecnie także dzieci z Małynia) została odsłonięta tablica pamiątkowa poświęcona Krystynie Wituskiej. Ufundował ją Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi. Na uroczystość został również zaproszony Mikołaj Tomasz Steppa. To o nim w jednym z listów do siostry Krystyna pisała: „Siostrzyczko, wychowuj swojego syna w duchu pokoju, niech nigdy nie będzie żołnierzem. Wojna jest okrutna i straszna".

Jedna ze szkolnych koleżanek Krystyny tak określiła ją kiedyś w prowadzonym przez siebie dzienniczku: „Miękka jak wosk, twarda jak stal". Czas pokazał, że była to wyjątkowo trafna charakterystyka.

W jednym z listów do rodziny Krystyna napisała: „Gdybym miała zdolności literackie, zaraz zaczęłabym pisać powieść, na pewno byłaby szalenie ciekawa, czasem tragiczna, ale nie pozbawiona humoru, który nas nigdy nie opuszcza". No cóż, nie napisała powieści, ale zapewne nie spodziewała się, że jej listy zostaną po latach opublikowane. I że każdy, kto je przeczyta, pozostanie pod wielkim wrażeniem jej tragicznego losu i niezwyklej osobowości.

Artykuł opublikowany na łamach łódzkiego Magazynu Kulturalnego „Kalejdoskop" nr 6/2026.

*



Tablica po święcona ojcu Krystyny Wituskiej, w kaplicy nagrobnej rodziny Wituskich w Małyniu, fot, Maria Duszka



Tablice po święcone rodzinie Krystyny Wituskiej, w kaplicy nagrobnej w Małyniu, fot, Maria Duszka

---

Żegnamy autora „Culture Avenue” – Adama Fialę

(1940-2026) – polskiego artystę w Australii

8 sierpnia 2026, w Perth w Australii odszedł Adam Fiala – malarz, rysownik, grafik, pisarz, poeta i artysta emigracyjny. Wyrazy współczucia dla żony Anny i syna Andrzeja.

*



Adam Fiala, akwarela

Urodził się 30 października 1940 roku w Lublinie, w Halloween. W Polsce nikt o tym święcie wtedy nie wiedział. Adam cieszył się więc, że jego urodziny nie przypadły 1 listopada w Święto Zmarłych lub w Dzień Zaduszny dnia następnego. Jednak Halloween wywarło wpływ na każdą dziedzinę jego twórczości – pisarstwo, sztukę i muzykę.

W dzieciństwie rysował i malował głównie lokomotywy parowe, którymi był zafascynowany. Lokomotywa kojarzyła mu się z potężnym zwierzęciem, obdarzonym niewyobrażalną energią. On sam się do dziś czuje, jak taka pełna energii lokomotywa. Miał przerwy w uprawianiu trzech rodzajów twórczości, ale na przekór właśnie te przerwy wydatnie pomogły w jego dalszym rozwoju.

Skończył prawo i dobrze sobie radził jako radca prawny w terenowych jednostkach w Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Unikał prac ambitniejszych, np. w międzynarodowym handlu, w którym brała udział Polska, żyjąca w tzw. rozwiniętym socjalizmie, który potem zaczął się zwijać.

Jego pierwsza emigracja to wyjazd do Warszawy. Malował wtedy głównie fantazyjne architektury, które sprzedawał na Zachód właśnie za pośrednictwem Desy – Biura Handlu Zagranicznego.

Stan wojenny w Polsce przeciął jego życie na pół. Druga połowa też okazała się interesująca, bo zaprowadziła go do Australii…

Nazwiska, które go w sztuce szczególnie fascynowały to Nikifor, Van Gogh i Picasso. Tak jak ten ostatni, potrafi namalować i narysować wszystko, od obrazów z fantazji, przez kompozycje abstrakcyjne, do portretów i pejzaży, które lubił ze względu na przyrodę australijską. Wypracował sobie własny styl w trzech dziedzinach twórczości.

Współpracował z Wydawnictwem „Miniatura”, miesięcznikiem internetowym „Polska Canada” oraz internetowym magazynem kulturalnym „Culture Avenue”.

Skomponował około 300-tu piosenek.

Oto jedna z nich. I tak go zapamiętajmy:

*

Materiały o Adamie Fiali na „Culture Avenue” – wirtualne wystawy prac, wywiady, teksty literackie:

> Adam Fiala. Artysta niepokorny.

> Moje Australijskie Noce i Dnie

> Adam na Księżycu. O polskiej przeszłości i literaturze z perspektywy australijskiej.

> Cień Wielkiej Góry

Jazz romantyczny

Nauczyciel muzyki

Adam Fiala. Turpizm australijski.

Adam Fiala – wiersze i rysunki

Australijskie noce i dni Adama Fiali

Prace Adama Fiali na Festiwalu Sztuki Naiwnej w Katowicach

Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie

Polscy artyści z Australii – Anna, Adam i Andrzej Fiala

Spotkanie z okazji 40-lecia Debiutu Twórczego Anny Marii Mickiewicz w Lublinie



*

Dr Irena Kulik

Czwartkowe popołudnie 21 maja 2026 roku w galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pod patronatem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich/ Oddział Warszawa, upłynęło w miłej i niepowtarzalnej atmosferze, pełnej łagodnego słowa poetyckiego Anny Marii Mickiewicz. Uroczystość z okazji 40-lecia Debiutu Twórczego z pochodzenia Lublinianki, z wyboru

– mieszkanki Londynu poprowadził Grzegorz Józefczuk, natomiast dr Tomasz Niedokos z Katedry Literatury i Kultury Angielskiej w Instytucie Literaturoznawstwa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II przybliżył „Angielskie aspekty poezji Anny Marii Mickiewicz". Filozofka Halina Rarot, dr hab. nauk humanistycznych, profesor nadzwyczajny Katedry Metod i Technik Nauczania Wydziału Podstaw Techniki Politechniki Lubelskiej wyjaśniła filozoficzne wątki w liryce Poetki ze skupieniem uwagi na spojrzenie na świat pod kątem Sokratesa.

Ciepłe, pełne barw oraz refleksji utwory z najnowszego zbioru „Równoległości/Parallelism" wybrzmiały w wykonaniu Autorki w języku polskim, natomiast po angielsku przeczytał je dr Tomasz Niedokos. W zaprezentowanych wierszach poruszono temat osób samotnych, które muszą odnaleźć się w codziennej egzystencjalnej rzeczywistości, jak młody emigrant z Polski w Wielkiej Brytanii na co dzień sprzedający ekologiczne warzywa w utworze „Anioł w Londynie", czy stolarz Stanisław, renowator w Muzeum na Majdanku w Lublinie. Nieobcy jest również temat przemijania w wierszu „kawa ze wzgórz nad Berkeley ", gdzie osobą warto nacieszyć się jak dobrą rozpuszczalną kawą wspominając San Francisco. Natomiast każda wiosna z budzącą się wielobarwną przyrodą daje nadzieję jak w utworach Emily Dickinson, których nutą są nasiąknięte wiersze Anny Marii Mickiewicz. Zapreentowane zostały również dwa

okolicznościowe listy wystosowane na tę uroczystość przez prof. Kazimierza Brauna z USA i brytyjskiego twórcy, redaktora magazynu literackiego „The Exiled Writers Ink” Davida Clarka. W przemówieniu z okazji Jubileuszu Anny Marii Mickiewicz, Lublin maj 2026 r., dr David Clark podkreślił: “To, co naprawdę podziwiam w Annie, to jej przystępność, głęboka troska o wszystkich ludzi, których spotyka oraz chęć angażowania wielu z nich w każdy projekt, w którym się zajmuje. Anna uosabia to, co uważam za kwintesencję bycia *ambasadorem kultury*.”



*

Natomiast w Liście Profesora Kazimierza Brauna z USA do uczestników spotkania poświęconego 40-leciu debiutu

literackiego Anny Marii Mickiewicz Autor podkreśla: “W Lublinie miała swoje gniazdo rodzinne Anna Maria Mickiewicz. Wyfrunęła z niego, jako pisarka już dojrzała, najpierw do Kalifornii, a następnie osiedliła się w Londynie. Ale właśnie tam, nad Tamizą, wijąc nowe gniazdo, powróciła myślą i wspomnieniem do tego pierwszego, zakotwiczając w nim jakby poetycką linę poręczową, taką, jaką rozpinają i umocowują w dwóch miejscach, taternicy, alpiniści, himalaiści. Ta lina pomaga jej odnajdywać swą ścieżkę w świecie nowych zadań i wyzwań, nowych ludzi i spraw, a nade wszystko własnej, narastającej, pęczniejącej i obficie owocującej, twórczości poetyckiej.”

W puencie spotkania miłym akcentem była prezentacja fotografii oraz filmów, które ukazały urok wiosennej natury Wielkiej Brytanii z podkładem angielskiej muzyki klasycznej Henry’ego Purcella. Nie zabrakło pytań o początki drogi twórczej oraz lubelskie dzieciństwo, młodość i zamiłowanie do literatury i filozofii, które narodziły się po sięgnięciu po lektury szkolne i dzieła Władysława Tatarkiewicza. Popłynęły również wyrazy wdzięczności zaproszonych gości w osobach przyjaciół z dzieciństwa, znajomych, miłośników twórczości, grona wykładowców z lubelskich uczelni, a szczególnie Politechniki Lubelskiej, Ambasadora Andrzeja Jaroszyńskiego i dyrektora WBP im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie Andrzeja Rolli.



*



*

Fotografie z Jubileuszu Anny Marii Mickiewicz w Lublinie, fot. arch. jubilatki

Anna Maria Mickiewicz – *poetka, tłumaczka i wydawczyni, urodzona w Lublinie, od lat związana z Londynem. Założycielka oficyny Literary Waves Publishing, tworzy w języku polskim i angielskim, publikując w wielu krajach świata, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Australii i Europie. Jej tomy poetyckie były tłumaczone na liczne języki, a twórczość prezentowana była na międzynarodowych festiwalach oraz w prestiżowych instytucjach, w tym w Parlamencie Brytyjskim. Jest laureatką*

wielu nagród i wyróżnień, w tym Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Krzyża Wolności i Solidarności. Jej działalność obejmuje nie tylko twórczość literacką, ale również aktywne uczestnictwo w życiu kulturalnym i naukowym – zasiadała w jury międzynarodowych konkursów literackich oraz współtworzyła projekty promujące literaturę i dialog międzykulturowy. Członkini m.in. English PEN, Polskiego PEN Clubu, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Jej twórczość łączy refleksję filozoficzną z wrażliwością na współczesność, budując pomost między kulturami i językami.



Oczy jak pięć złotych. Moja Ameryka.



Fot. ChatGPT

Piotr Maskos *(Oleśnica)*

Rok 1978 i okolice. W mlekiem i miodem płynącej krainie

środkowego PRL-u — bo chyba każdemu z nas kraina dzieciństwa płynie mlekiem i miodem — istniał legalny środek płatniczy znany jako „pięciozłotówka z rybakiem”. Była to moneta słusznej wielkości, niepokojąco jednak lekka, albowiem wykonana z „amelinium”. Materiał był nieco „miętki”, a wizerunek rybaka — poorany bruzdami zużycia, powycierany na wszystkie strony — nieubłaganie zanikał. To był słaby pieniądz. Stanowił jednak przedmiot pożądania blokowej dzieciarni, która mogła wymienić go na pudrowe draże, mleko w tubce, długaśne chrupki kukurydziane albo dmuchany ryż. Niebagatelny rozmiar monety mógł być przyczynkiem do powstania powiedzonka „mieć oczy jak pięć złotych”, co oznaczało zadziwienie podszyte zachwytem, ale nierzadko przerażeniem bądź zażenowaniem.

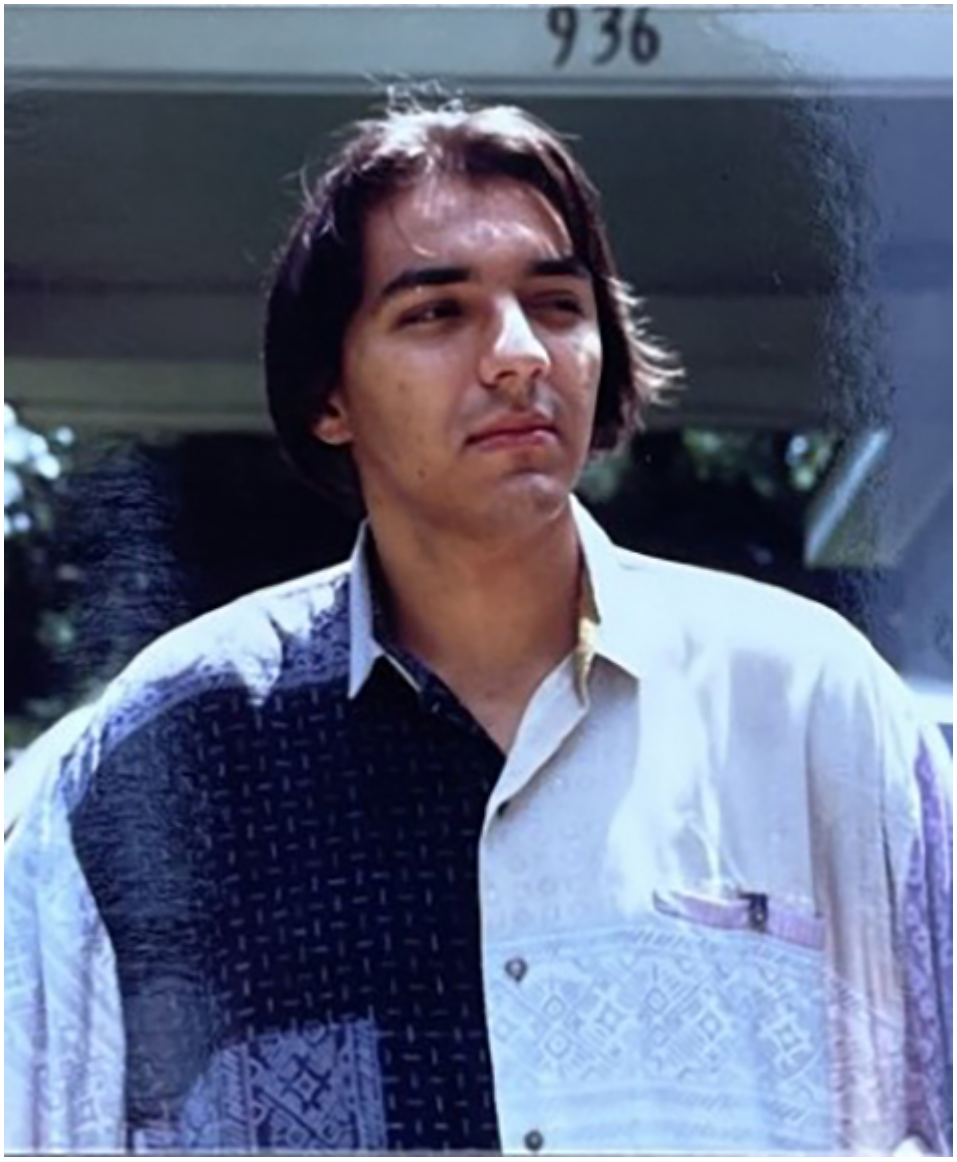
Rok 1985. Staję jako piętnastoletnie dziecię po raz pierwszy na amerykańskiej ziemi. To oczywiste i naturalne, że z miejsca robię oczy jak pięć złotych. Nie te z rybakiem, dużo większe. Łaskawy los rzuca mnie od razu na centralny Manhattan. Zachwyt jest prawdziwy. MoMA, Empire State Building, Times Square, kultowe kluby jazzowe na 42. ulicy (tu mnie nie wpuszczają), i wreszcie Tower Records (stąd to ja odmawiam wyjścia). „Prawdziwa Ameryka tak nie wygląda” – ojciec napomyka ostrzegawczo. Wspomina też mimochodem, jakie cechy charakteru powinienem posiadać, aby osiągnąć tutaj sukces. Gdzieżbym słuchał…

Po tygodniu tej olśniewającej zacofaną bida-młodzież turystyki trafiam do średniej wielkości miasta w jednym ze stanów najgłębszego Południa. Jest tu duży uniwersytet, na którym moi rodzice są pracownikami naukowymi. Jest też — niestety, od razu i nieubłaganie — początek roku szkolnego. Następnego dnia po przyjeździe jadę już żółciutkim school busem do szkoły, wraz z ojcem, który wprasza się tam ze mną pomimo stanowczego zakazu kierowcy. Jego apel do sumienia w końcu skutkuje: wkurzony kierowca macha ręką, ale takich rzeczy się nie robi. Nagięliśmy system. Nie po raz ostatni. Z tyłu autobusu lecą ostre podśmiechujki. Zaczynam fatalnie. Na wszelki wypadek uznaję, że właśnie zrobiłem zerowe wrażenie. Bo pierwsze robi się tylko raz.

Jako nowy uczeń dostaję do wypełnienia ankietę. Mam z nią problem językowy, więc zabieram ją do domu. Jedno z pytań brzmi trochę dziwnie: „Czy często czytasz swoim rodzicom?” Sięgam pamięcią. Noooo, były takie sytuacje – jakieś dowcipy w gazetach, trafione w punkt fragmenty artykułów, recenzje tego i owego. Czasem się to czytało na głos ku uciesze domowników. Więc chyba odpowiem: „Tak”. Zasięgam opinii ojca. On też nie wie, o co chodzi, ale po chwili spływa na niego oświecenie. Twórcy ankiety w ten elegancki i niezmiernie cwany sposób zadają *de facto* pytanie: „Czy twoi rodzice są analfabetami?” To jednak odpowiem, że nie czytam.

Kraj, w którym się znalazłem, ćwiczy sztukę asymilacji przybyszów od dwustu lat. Ten trening uczynił mistrza. Z miejsca zostaję – jak po sznurku – wciągnięty w machinę. Proces odbywa się szybko i sprawnie. Oprócz zwykłych lekcji mam dodane w grafiku zajęcia dla dzieci specjalnej troski lingwistycznej, czyli ESL (English as a Second Language). W klasie — zbiorowisko podobnego mi narybku świeżych imigrantów. Nie ma w ogóle takiej opcji, że ktoś jest obcy i nie jest imigrantem. Nikt tu nie przyjechał trochę pobyć ani na wakacje. Stąd się nigdzie nie wraca. Takie zwierzę nie istnieje. Można co najwyżej nie być uchodźcą. Młodzi imigranci pachną jeszcze trochę swoimi krainami. Liczebnie dominują Ameryka Środkowa, Iran oraz Wietnam. To te regiony i kraje są tu teraz na emigracyjnym topie. Często były to kraje, w których Ameryka wspierała obalone już rządy, a osoby z nimi związane musiały salwować się ucieczką. Zajęcia ESL, prowadzone przez pulchną, empatyczną Kubankę, to w mojej sytuacji błogosławieństwo. Na tacy podano mi nowych kolegów. Oni też uczą się angielskiego i są w takiej samej sytuacji jak ja. Bywa, że nowo przybyli nie mówią słowa po angielsku. Niektórzy są przerażeni. Siadają w kącie. Spuszczają głowy. Próbują znikać. Kubanka wyłuskuje ich i wspiera. Ja też lgnę mocno do tej pomocy. Po kilku dniach umawiam się z moim nowym meksykańskim kolegą na tenisa. System działa. Pewnego dnia Kubanka robi cykliczną pogadankę i tłumaczy, jakie cechy charakteru należy przejawiać, aby osiągnąć tutaj sukces. Czyta je z kartki, żeby się nie pomylić.

Po latach widzę jednak pułapkę systemu ESL, choć nadal nie widzę dla niego alternatywy. System ten wtłoczył mnie w „paradygmat imigracyjny”. Rozsiadłem się w nim wygodnie. Ograniczyło to moje kontakty z rdzennymi Amerykanami (nie, nie mam na myśli Apaczów), ponieważ ich nie wymusiło. Nie żeby oni rwali się do kontaktów ze mną. W Stanach jest tylu obcych, że nie stanowią oni żadnej atrakcji dla nikogo. Wręcz przeciwnie. ESL było pomocną dłonią na początek. Takie zagospodarowanie zagubionej duszy, wyciągnięcie z głębokiego dołu, trampolina do przyszłości. Oczekiwano, że z upływem czasu każdy poradzi sobie sam.



Piotr Maskos, fot. arch. autora

Rok 1986. Trochę to trwało, ale w końcu dociera do mnie, że z turysty na dobre zamieniłem się w imigranta, i to nawet – jak się później okaże – politycznego. Mówi się, że pierwsze pokolenie imigrantów ma zawsze rozdarte serce. Idzie na straty, bo za dużo w nim ojczyzn. Aby ratować samopoczucie, wmawiają sobie, że poświęcają się dla dzieci. Cierpią dla bezspornie słusznej sprawy: przyszłego materialnego dobrobytu dzieci.

Obserwując rodziny kolegów z zajęć ESL oraz lokalną Polonię

skupioną wokół kośc…, a właśnie, że nie, bo uniwersytetu…, miałem okazję doświadczyć całego wachlarza zachowań imigrantów. Teraz, po latach, ocenę celującą w kategorii „profesjonalny wzorowy imigrant” przyznałbym młodej parze Polaków, która przybyła z dzieckiem w wieku szkolnym. Postanowili całkowicie wytrzebić z siebie wszelkie zaszłości dawnego kraju. Szerokim łukiem omijali Polonię. W domu z własnym dzieckiem mówili wyłącznie po angielsku. Uczyli się prawdziwego języka ulicy od własnego dziecka, wysłanego do szkoły. W tamtych czasach polskiej emigracji nierzadko towarzyszyła desperacja podszyta jakby irracjonalną, wmówioną sobie nienawiścią do polskości, jakimś bezpodstawnym wstydem.

W mojej szkole średniej około 45 procent uczniów stanowią Afroamerykanie. Jej patronem jest generał Robert E. Lee. To wybitna postać historyczna, głównodowodzący wojsk Konfederacji w wojnie secesyjnej. Wojnę wygrała Północ (The Union), więc jako zwycięzca dostąpiła prawa i zaszczytu opisania jej przebiegu dla przyszłych pokoleń Amerykanów oraz reszty świata. Dominującą narracją tego opisu jest wyzwolenie niewolników. Północ, ucieleśniona przez republikanina Lincolna, nie bacząc na własne straty, przyniosła uciśnionym czarnym masom sztandar wolności. Biali Południowcy do dziś za bardzo tego nie kupili. Po latach drobnym pocieszeniem wydaje się możliwość uhonorowania przywódców przegranej sprawy. Miejscowości, ulice i szkoły nazywane są imionami wojennych

bohaterów Konfederacji. Ten temat jest soczyście niuansogenny. Po pierwsze, jak czuli się świadomi Afroamerykanie, chodząc do szkoły nazwanej imieniem człowieka, który de facto walczył, aby ich przodkowie pozostali niewolnikami? Po drugie, zastanawiam się, czy pewne polskie postacie historyczne, kontrowersyjne i powiązane z niejako przegranymi i wątpliwymi sprawami, miałyby szansę na taki honor w Polsce przy milczącej akceptacji społecznej. Dekomunizacja nazw rozpoczęta w latach 90. przebiegała raczej bez protestów. Czy któraś z tych wygumkowanych wtedy osób ma szansę powrócić? Po latach historia, pobudzona przez ruchy „woke", scancelowała – mówiąc politycznie poprawną nowomową – generała Lee i 16 lipca 2020 roku, po kilku miesiącach pyskówek w różnych urzędach, oficjalnie zmieniono nazwę szkoły na Liberty High School. Lee-berty… Cwane.

Minął rok. Przeżyłem trudny początek. Jakoś uczestniczę w życiu szkolnej społeczności. Na klasówkach podrzucam co fajniejszym dziewczynom rozwiązania zadań z przedmiotów ścisłych. Są mocno zaskoczone, bo tu nikt nikomu tak nie pomaga. Taka pomoc jest nieetyczna. No jest, ale ja tego wtedy nie wiem. Poprawną ścieżką podrywu byłaby randka w bibliotece, połączona naturalnie z darmowymi korepetycjami. Dziewczyny jednak się cieszą i proszą o więcej. No problem. Zostałem takoż deprawatorem tej pięknej, uczciwej młodzieży. Dołączam do szkolnej drużyny piłki nożnej. Aby zarobić na ekwipunek,

miesiącami snuję się po szkole z wielką torbą Twixów i Snickersów. Biznes idzie świetnie. Młodzież żre cukier na potęgę, bo przecież cukier krzepi. Na koniec sezonu zajmujemy drugie miejsce w rozgrywkach stanu Luizjana. Wykorzystując wiedzę zdobytą jeszcze w polskim liceum, biorę udział w olimpiadach z matematyki i chemii. Wygrywam to i owo na poziomie lokalnym. Zresztą większość dzieci po szkołach polskich radzi sobie tutaj znakomicie.

Pewnego dnia zostaję poinformowany, że dzisiaj zamiast WF-u nauczą mnie jeździć samochodem. Od razu wyjeżdżamy na ulicę. Tu nie ma chodników i pieszych, więc nikogo nie rozjadę. Dwie takie lekcje w szkole, krótki test teoretyczny w urzędzie (trzeba wykuć drogi hamowania w stopach przy szybkości w milach na godzinę), następnie test praktyczny, czyli objazd kilku przecznic trwający raptem jakieś osiem minut. Bez strat w sprzęcie i infrastrukturze ulicznej — czyli zdałem. Aha, jeszcze całe dwanaście dolarów opłaty — i prawo jazdy jest moje. Po powrocie do Polski wkraczam pewnym siebie, zamaszystym krokiem do urzędu komunikacji i z pokerowym wyrazem twarzy wymieniam je na polskie.

Rok 1987. Za szerzenie niezmiernie przygnębiających wierszy pewnej współczesnej angielskiej poetki zostaję wezwany przed oblicze szkolnej pani psycholog. Ta, skrzętnie notując, co mówię, dobrodusznie wypytuje o źródło tych niecnych treści i wyjaśnia,

że w życiu należy być wesołym, a nie smutnym. Potem dowiaduję się, że istnieje ruch rodziców, wspierany przez szkoły i grona pedagogiczne, stawiający sobie za cel ograniczanie młodzieży dostępu do niewłaściwych treści. A ja się wygadałem i to bez tortur, skazując angielską poetkę na medialny niebyt. Na szczęście i tak już była w nienajlepszym nastroju.

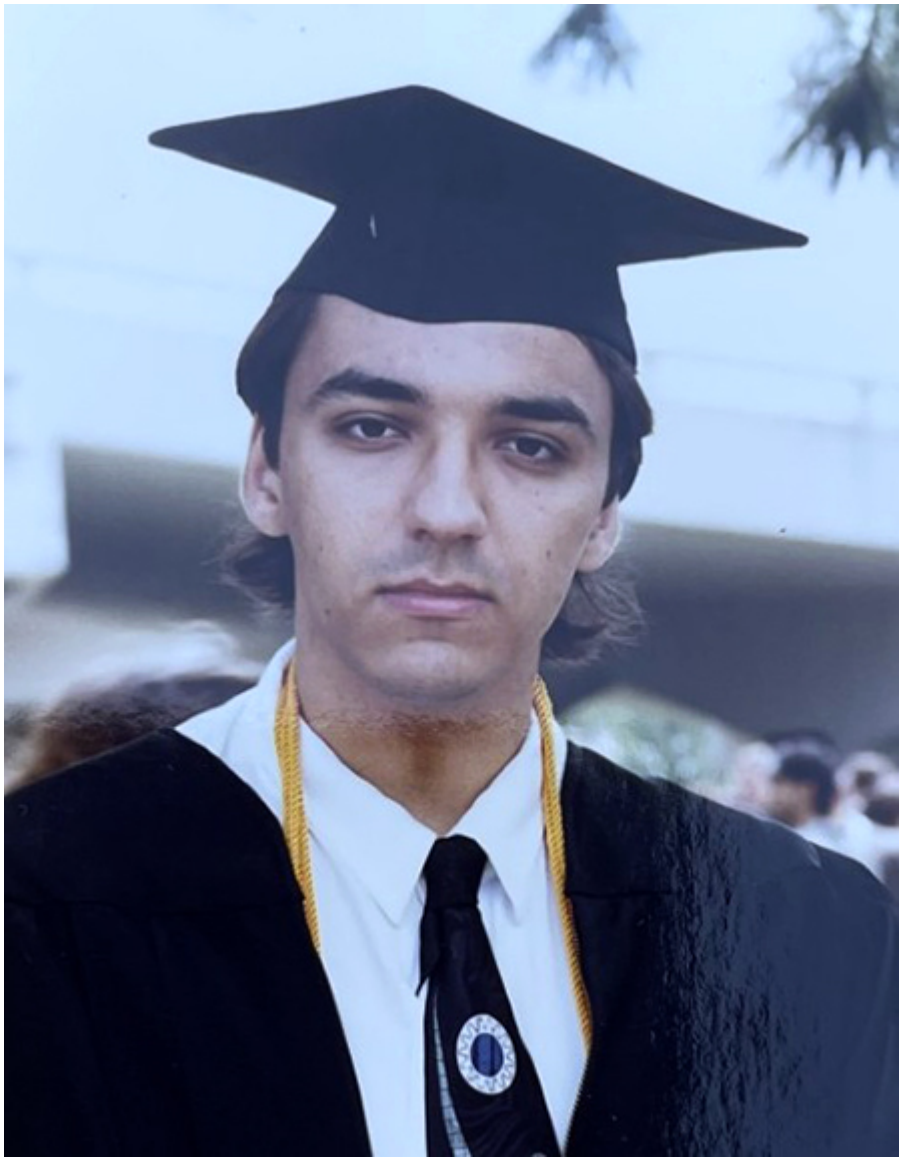
Przy innej okazji wzywa mnie pan dyrektor całości i zapytuje, czy to ja kolportuję po szkole pornografię. Podczas krótkiej rozmowy pada klasyczne pytanie o bycie komunistą. Bożeż ty mój, kiedy przylgnęła do mnie etykieta wywrotowca? Nad dyrektorem wisi portret McCarthy'ego, który zerka na mnie srogo. Makkartyzm wiecznie żywy. Notuję, że w tym stanie jeszcze nie wiedzą, że jest on już trochę passé. Tłusty dyrektor, zadając swoje pytania, trzyma nogi na biurku. Scena jak z filmu. Z filmu… Postanawiam uciekać. Wybiegam z gabinetu, dwóch typów z FBI czeka już z kajdankami. Pierwszy dostaje kopa i wypuszcza kajdanki, które lecą po podłodze. Drugi podejmuje pościg i natychmiast wypierdziela się na nich. Mam 15 jardów przewagi. Biegnę po przyłożenie. Wybiegam ze szkoły. Wszystko wyje na czerwono-niebiesko. Święto czwartego lipca!? No nie, wtedy są wakacje. Te wspaniałe, błyskające światła to policja. Jest też straż pożarna, ambulans i lokalna TV. Koledzy tłoczą się daleko za barierkami policyjnymi i trzymają transparenty z lewackimi hasłami. Machają do mnie. Facet ukryty za samochodem mówi przez megafon, że jak od razu się poddam, to mnie deportują

tam, skąd przyjechałem. Tak, tak! Ale nie. Nie mogę tego zrobić starym. Pryskam w dżunglę, która rośnie przy szkole. Tam jeszcze nigdy nikogo nie odnaleźli. Słychać wycie syren i strzały. Na mokradłach bayou odpływam w zachód słońca na grzbiecie aligatora. See you later, alligator! Napisy końcowe. Następnego dnia moi czarni bracia przybijają mi piątki i z uznaniem w oczach mówią, że nie wiedzieli, że jestem taki „bad madafaka, bro".

Aby poczuć się lepiej, poczynam tworzyć analizy socjologiczne. Mają przedstawić mnie sobie w lepszym świetle. Bacznie obserwuję otoczenie i wyciągam wyłącznie niewłaściwe wnioski. Jeżeli w Polsce, aby zaistnieć w grupie, trzeba było jakoś wyróżnić się na jej tle, to mam wrażenie, że tu jest odwrotnie. Istnieje jakiś pęd do wtopienia się. Idealizuję własną wyjątkowość. A być może otaczająca mnie apologia konformizmu miała głęboki sens dla społeczeństw już nieco osiadłych, nienękanych konwulsjami wojen, przewrotów, rewolucji, gułagów, migracji ludności tam i nazad. Po prostu to była normalność przekazywana kolejnym pokoleniom jako zestawy stałych, sprawdzonych wartości. Nie robimy rewolucji, kiedy wszystko jest OK. A jest OK, bo nikt z zewnątrz nam nic nie każe. Sami się urządzamy tak, jak chcemy. To jest nasze i już. Ewoluujemy nienękani. Dlaczego buntować się przeciw temu? Nie rozumiałem tego wtedy.

Zauważam wyraźny trend antyintelektualny. Dotyczy on w

zasadzie całego społeczeństwa, jest jawnie propagowany przez media i kulturę głównego nurtu. Ten trend rodzi dwie niesympatyczne cechy, o które Amerykanie jako naród oskarżani są (i obśmiewani) na całym świecie. Może te oskarżenia też leczą czyjeś kompleksy, ale nie można się nad nimi nie pochylić. Pierwszą cechą jest ignorancja, czyli stosunkowo niewielka wiedza na temat otaczającego świata, tego poza Stanami. Świat oczekuje od Amerykanów — ponieważ ich kraj osiągnął niebywały sukces — pewnej świadomości, z pewnością większej od przeciętnej. Według wizji ignoranta świat podzielony jest na Amerykę (co na to pozostali mieszkańcy tego kontynentu?) i resztę krajów, stanowiących zlepek zamieszkiwany przez dzikich i terrorystów. Rdzeniem angielskiego słowa ignorance jest „ignore", a więc to nie jest zwykła niewiedza. To wręcz świadome jej niepozyskiwanie z otoczenia, ignorowanie jej właśnie, ochocze przyzwolenie sobie na tę niewiedzę. A premedytacja to już grzech. Ten antyintelektualizm to temat dla socjologów albo psychiatrów… Ignorancja rodzi drugą cechę: arogancję. Taki nieco paternalistyczny stosunek do reszty świata. Bo skoro USA to „the greatest country in the world", to wszystkie pozostałe są mniej „great". To logiczne.



Piotr Maskos, graduation, Louisiana State University, Baton Rouge, 1992 r., fot. arch. autora

Rok 1988. W ostatnich semestrach szkoły średniej podchodzę parę razy do testów ACT i SAT. Są to testy, które można zdawać kilka razy. Liczy się najlepszy wynik. Na ich podstawie następuje kwalifikacja na studia i przyznawane są ewentualne stypendia na studia w drogich uczelniach prywatnych. Na SAT zdobywam maksymalną liczbę punktów z matematyki i około 70 procent z angielskiego. Rodzice triumfują. Ja jestem załamany. Tłumaczę im, że gdyby egzamin był po polsku, to i z angielskiego, znaczy

polskiego, miałbym 100 procent. Wykładam się na znajomości rzadkich słów, które istnieją chyba tylko po to, aby umieszczać je w tych testach. Ta przeszkoda jest dla mnie nie do przeskoczenia w tak krótkim czasie. Musiałbym od lat nasiąkać nimi w domu rodzinnym, dużo więcej czytać po angielsku i to rzeczy specyficznych, napisanych górnolotnym, trudnym językiem. Zostałem odsiany.

Rok 1989. Pod koniec tego roku cała rodzina dostaje zielone karty. Oficjalną podstawą jest udzielenie nam azylu politycznego. To piękny gest, bo w Polsce zagraża nam reżim komunistyczny, którego urzędującym premierem jest ten niesławny krwiożerczy aparatczyk Tadeusz Mazowiecki. Są takie chwile, gdy koła historii toczą się szybciej niż dyrektywy urzędnicze.

Na kampusie jest kino studenckie, gdzie oprócz copiątkowego obowiązkowego „Rocky Horror Picture Show" grają filmy bardziej niszowe, a nawet, o zgrozo, takie z napisami po angielsku. Pewnego wieczoru w tym siedlisku zła i wrogich nam ideologii puszczają niemiecki film w reżyserii Wima Wendersa, którego oryginalny i również polski tytuł brzmi „Niebo nad Berlinem". Tu film niemiecki to prawie jak polski. Dystrybutorzy amerykańscy przezornie zmieniają tytuł na „Wings of Desire", chcąc być może uniknąć skojarzeń wojennych. Wychodzę z kina odmieniony. Coś we mnie kliknęło. Rzecz jest o aniołach, którzy postanawiają zstąpić ze swych niebiańskich superpozycji do

twardego życia nieustannie obserwowanego przez nich na dole, a przy okazji doznać ludzkich przeżyć i emocji. Formalnie to ich upadek, dający jednak nadzieję na dużo ciekawszą, choć znacząco krótszą egzystencję. Tak, ten film zaprawdę przemówił do mnie „językami aniołów”. Siedzę pod kinem i czuję, że właśnie zrobiłem ten „time warp”, o którym drą się w „Rocky Horror”. Czuję, że stało się coś fenomenalnego. Jeszcze nie wiem co, jeszcze muszę to sobie uporządkować, ale nie jestem już zawieszony w nicości. Osiadłem i stąpam po twardym gruncie. Nigdy później żadne dzieło kultury ani sztuki nie będzie miało większego wpływu na moje życie.

Zostaję pilnym studentem. Rzadko wychodzę z domu. Oglądam „Hair” i Woodstock. Czytam Kerouaca i Salingera. A potem wychodzę na ulicę i coś tu mi (dosłownie) nie gra. Potem mnie oświeca. Przecież w filmie było wyraźnie pokazane, że hipisi mieszkają w Central Parku. Jest ich może w sumie pół setki i zarabiają na życie, grając hipisów w filmach o hipisach. Bohaterowie Kerouaca siedzą w areszcie. Ci od Salingera dawno przedawkowali. McMurphy pozostaje niezmiennie uduszony przez Indianina. Wolny duch to bajka Hollywood. W tym kraju rządzi protestancki etos pracy. Swym stanem niepokoję bliskich. Coraz częściej słyszę w domu namowy do zmiany i instrukcje o tym, „jakie cechy charakteru…”.

Rok 1991. Nirvana nagrywa „Smells Like Teen Spirit”.

Bossowie przemysłu muzycznego postanawiają, że to w tym roku alternatywa stanie się mainstreamem. Nie wszystkim muzykom wyjdzie to na dobre. Dla mnie już też jest za późno. Ekstrapoluję wszystkie możliwe ścieżki wydarzeń. Startując z miejsca, w którym stoję, żadna nie prowadzi mnie tam, gdzie chciałbym być. Może mam za słabą wyobraźnię. Może stoję w złym miejscu.

Gorący i parny wiosenny weekend. Jedziemy na coroczny New Orleans Jazz & Heritage Festival. Festiwale na świeżym powietrzu nie mogą odbywać się tu w lecie. Nikt by tego upału nie wytrzymał. Ojciec ma uśmiech od ucha do ucha. Chyba coś knuje. Na miejscu — tłumy. Parkujemy daleko i przedzieramy się w stronę scen. Po drodze na każdym rogu grupy muzyków – lokalnych i przyjezdnych – łączą się spontanicznie w pięciominutowe zespoły. No tak, jazz to improwizacja. Wokół wszyscy tańczą i bawią się. Absolutnie najwspanialsza atmosfera, jaką można sobie wyobrazić. Tak wygląda niebo tych, którzy kochają muzykę. Przy jednym z namiotów tłum jakby większy. Na scenie człowiek w wielkich okularach i długim kolorowym chałacie. To trębacz. Stoi nieruchomo, jakby zastygł, ale jego zespół daje z siebie wszystko. Ma się wrażenie, że sygnał idzie skądś z góry, z niebios, a ten muzyk jest tylko przekaźnikiem tych boskich dźwięków. Czara trąbki skierowana prosto w ziemię. To wszystko jest przeznaczone specjalnie dla matki Gaji. Oj, dzieje się. Tutaj odbywa się transmisja geniuszu. Wiele lat później, gdy opowiadam o tym koncercie, dorośli mężczyźni robią

oczy jak pięć złotych i pojawiają się w nich łzy zazdrości. Sam sobie zazdroszczę jak nie wiem co. A ojcu nigdy nie odpłacę się za to, że mnie tam zabrał. Bo ten człowiek z trąbką to TEN człowiek z trąbką. Kosmita. Miles Davis.



Piotr Maskos z rodzicami, graduation, Louisiana State University, Baton Rouge, 1992 r., fot. arch. autora

Rok 1992. Domęczam do końca studia i informuję najbliższych o mojej decyzji powrotu do Polski. Na miejscu jednak szok. Ciemno, ponuro, dziwnie jakoś. A do grozy listopada jeszcze parę

dobrych miesięcy. W moich optymistycznych kalkulacjach nie ująłem klimatu. Starzy i nowi znajomi. Wszyscy zadają to samo pytanie: „Dlaczego wróciłeś?!”. W pytaniu jest więcej wykrzykników niż pytajników. Czasem nie ma pytajników wcale. Tu żadna odpowiedź nie zadowoli pytającego. Wie, że głupio zrobiłem. On by na pewno nie wrócił. A ja plączę się w zeznaniach. Tubylcy co rusz robią oczy jak pięć złotych. Niektórzy zaczynają tłumaczyć mi, jakie cechy charakteru powinienem przejawiać, aby osiągnąć tutaj – w Polsce – sukces. Połowę tego chyba już gdzieś słyszałem. Druga połowa to nowości. Droga do sukcesu nie jest uniwersalna.

Mijają pierwsze miesiące. Zastanawiam się nad praktycznymi korzyściami płynącymi z pobytu w USA w kontekście mojego przyszłego życia w Polsce. Angielski na pewno, ale nie tylko. To zresztą zaleta średnioterminowa. W tej chwili polska młodzież, wychowywana przez internet, mówi świetnie po angielsku. Zauważam też pewne nabyte cechy, które odróżniają mnie od rówieśników. Oni również je zauważają i mówią mi o nich wprost. Kurcze, znowu jestem inny niż reszta. Ale teraz to zaleta. Będąc w Stanach, broniłem się przed nimi, a jednak nabyłem je chyba drogą mimowolnej osmozy. Po pierwsze: pewien optymizm graniczący z łatwowiernością. „Jak to się nie da? Oczywiście, że się da. O, proszę…”. Tamto pokolenie Polaków miało jeszcze wgrany ten PRL-owski program, że nic się nie da zrobić. A ja mam amerykański „can-do attitude”, choć w Stanach objawiał się

on często jako „can’t do”. Po drugie, i to wręcz ironiczne w kontekście tej opowieści: nieobarczanie innych osób winą za porażki w swoim życiu. Róbmy swoje! Po trzecie, i z tego nie powinienem być specjalnie dumny: nabyty bezduszny pragmatyzm. Każde działanie jest po coś. Nie ma pustych przebiegów. Nie zatrzymujemy się, aby powąchać kwiatek, przytulić drzewo. Choć nie wszedłem nawet na ścieżkę zawodową w USA, kultura korpo jakoś przeniknęła mnie na wylot. Wiele lat zajmie mi pozbycie się takiego myślenia i wrzucenie na luz. Na początku mojej polskiej drogi to przeniknięcie kulturą amerykańskiego zapierdzielu odróżnia mnie i jest dla mnie korzystne.

Z niepokojem stwierdzam spore braki w moim wykształceniu. Moi koledzy nie zamknęli się w ciemnej piwnicy na siedem lat mojej nieobecności. Moje braki wynikają z pominięcia formalnej podstawy programowej w liceum ogólnokształcącym – głównie w obszarze lektur i historii Polski. Z tym da się żyć. Nie musiałem też pisać matury. Udało mi się również uniknąć pierwszych lat studiów – zazwyczaj służących do odsiania słabszych studentów. Na co dzień bardziej doskwierają mi luki w wiedzy z obszaru bieżącej polityki, która wydaje się zresztą bardzo niezdrowo wszystkich tutaj pobudzać i pochłaniać. Mam też braki kulturowe. Dotyczą one literatury współczesnej, muzyki czy filmu. Pozycje obowiązkowe, zaliczane przez moich kolegów jeszcze w szkole średniej i na studiach, to dla mnie nowość.

Muszę nadrabiać spore zaległości. Ja mam inne doświadczenia – chcąc nie chcąc, liznąłem amerykańskiego kanonu kulturowego, ale mogę się nimi podzielić jedynie z pasjonatami tematu. To dokładnie lustrzane odbicie sytuacji amerykańskiej. Istnieje pewien kanon kulturowy, który trzeba znać, aby egzystować jak swój w danym środowisku. Aby rozumieć dowcipy, odniesienia, aluzje, niuanse i nie pytać w kółko jak idiota, o co chodzi. Elementy kultury masowej, absolutnie podstawowe w USA (np. Mr. Rogers, komiksy o superbohaterach, kultowe seriale ze złotej epoki telewizji), są raczej nieznane w Polsce i odwrotnie. Ta przepaść – dzięki globalizacji – będzie w przyszłości malała. Ale pamiętajmy, że globalizacja to wielki bajer. Tu absolutnie nie chodzi o żadną wymianę kulturową. To, co twoje, nikogo nie interesuje. Celem tego procesu jest tylko i wyłącznie zasypywanie tej przepaści poprzez sprzedaż produktów kultury korporacji medialnych na świecie. Nikt nie wprowadza globalizacji, aby importować cudze. Koncepcja globalizacji jest jednym z najbardziej perfidnych kłamstw współczesnego świata.

Zostaję na dwa lata studentem Politechniki. Zaczynam od czwartego roku. Magister się sam nie zrobi. Idzie gładko. Tym, którzy dotrwali do tego miejsca, uczelnia nie robi już większych problemów z ukończeniem studiów. Potem znajduję pracę w rodzącej się powoli branży IT. Czerpię garściami z doświadczeń amerykańskich. W międzyczasie pojawiam się w Stanach na tydzień, żeby odebrać obywatelstwo. O tak! To było szczurowate.

Do dziś jest mi z tego trochę głupio. Śpiewam hymn i przysięgam na flagę bronić Ameryki, z którą już się mentalnie pożegnałem. Stosunkowo łatwo to zrobić, bo nie ma przed kim. Jedynym zagrożeniem dla Ameryki jest ona sama, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wie. A nie, przepraszam. Noam Chomsky wie.

Rok 1999. Na przełomie tysiącleci wracam do USA. Na elemencie układanki, którego mi brakowało, aby do końca ułożyć moją amerykańską układankę, widnieje napis „praca". Samodzielnie oddelegowuję się na dwa lata do amerykańskiego oddziału szwedzkiej firmy IT, w której pracuję od końca polskich studiów. Oddział amerykański jest w Folsom w Kalifornii. To tam, gdzie Johnny Cash nagrał swój świetny koncert więzienny. I znowu zaczyna się dobrze, ale stare koszmary szybko powracają. Firma to zbiorowisko jednostek w sztywnym tańcu politycznej poprawności. Nie chodzi o tę jedną, Bogu ducha winną firmę. O każdą. Trzeba uważać, co się mówi. Szkoda, bo najlepsze są dowcipy troszeczkę niepoprawne. W pracy najlepiej mówić tylko o pracy. Wszyscy brodzą w płytkich morzach powierzchowności. Może na tym polega ta cywilizacja? Na ociosywaniu nas z wszelkich wynaturzeń i narośli, aby dało się nas wszystkich świetnie formować w równe sześciany, łatwo wymieniać jedne na drugie, co znacząco ułatwia również pakowanie do pudeł zbiorczych. Pod koniec tych dwóch lat znowu liczę dni do powrotu. Konstatuję z pewnym żalem, że co najmniej połowa z dziewięciu lat, które spędziłem w Stanach, polegała na liczeniu

dni do powrotu do Polski. Gdy tu jestem, jestem chyba największym marnotrawcą czasu własnego życia. Nie powinienem tu być. Więc bye.

Wtedy tego nie wiedziałem. Nie łączyłem kropek. Objawienie przyszło dużo później, całkiem niedawno. Jest to objawienie czysto subiektywne, pewnie znowu niesłuszne. Dla wielu może być herezją i uproszczeniem. Wmówiona mi „niedoskonałość", będąca ciągłym źródłem poczucia gorszości, poczucia winy z powodu własnej nieadekwatności i wpędzania w kompleksy — była celową manipulacją. Ktoś bierze miarę naszej osobowości, cmoka coś tam pod nosem z niezadowoleniem: tu za grubo, tam za chudo. Ale nie martw się, chłopie. Przecież: „Tak!!! Możesz się zmienić!!!" Obiecujemy ci to! Jeżeli będziesz pracował nad sobą zapamiętale i nieustannie, to wcale nie jest powiedziane, że w końcu nie staniesz się takim, jakim zawsze być powinieneś. Posiądziesz cechy idealnego sprzedawcy. Bo my tak naprawdę potrzebujemy tutaj tylko sprzedawców. Wszystko jest towarem. A ty jesteś wart tyle, ile potrafisz sprzedać. Nie chcę już brać udziału w szopce wiecznej rozmowy kwalifikacyjnej i udawać z uśmiechniętą gębą, jak dobrze potrafię sprzedać komuś wymyślony długopis. Jeżeli ktoś go potrzebuje, to dam mu swój. Naprawdę. Mam jeszcze ołówek.

Rok 2001. Wracam wyleczony na zawsze z Ameryki. Moja terapia – czy może resocjalizacja – w Folsom powiodła się. Teraz

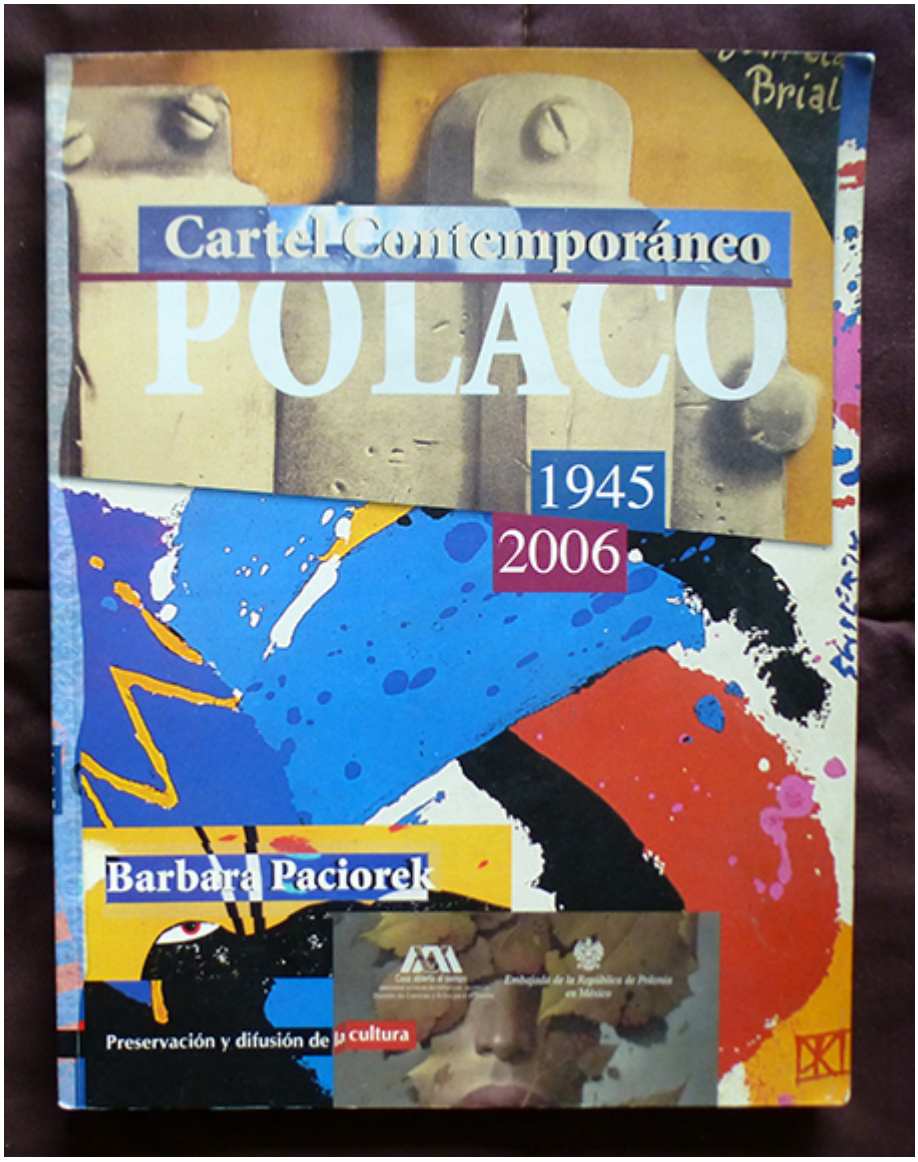
Polska! I tak już zostanie. Życie w naszym pięknym kraju stopniowo normalnieje. Dostrzegam i autentycznie raduję się wszystkim dobrem, które wyrasta wokoło. Wracam za ocean sporadycznie, na ważne wydarzenia rodzinne. Wtedy jestem tam turystą jak na początku na Manhattanie. Wspomnienia bledną. Wypaczają się. Pamiętam to, co było dobre. Nie liczę zysków i strat. Jestem we własnym domu. Mam bliski kontakt z rodziną, która została w kraju. Staram się podtrzymywać więzy z tymi, którzy wyjechali – nie tylko do Stanów. Czy moje wyjazdy miały sens? Tak, były nauką. Sens miały też powroty. Emigracja to sprawa trudna i indywidualna. Świetnie jest mieć ją jako wybór — jako wolność, dzięki której wszystko mogę, a niczego nie muszę. Emigracja w desperacji i z konieczności to wielkie nieszczęście.

Grudzień 2025. „Gupi" morał. Wikipedia definiuje „inteligencję" jako zdolność do postrzegania, analizy oraz adaptacji do otoczenia i zachodzących w nim zmian. Trzymając się formalnie tej definicji, można by wysnuć logiczny wniosek, że brak adaptacji lub jej niski poziom do zmian otoczenia jest oznaką braku inteligencji. Powyższa definicja zakłada, że otoczenie jest nam narzucone jako dynamiczny czynnik zewnętrzny, a my adaptujemy się do niego sprawnie albo nie. Taaaa… Narzucone… W tym sęk. Pasuje mi to do metafory szczurów w labiryncie. Szalony naukowiec pochyla się nad labiryntem i robi szczurom przykre kawały. Tu razi je prąd, tam

są głodzone, gdzieś indziej łapki całkiem rozjeżdżają się na rozlanym oleju. W swym kajeciku skrupulatnie odnotowuje reakcje i postępy ich adaptacji, ocenia ich inteligencję. Na ścianach labiryntu zdjęcia „Szczura miesiąca", tablica poświęcona szczurom, które oddały życie dla chwały korporacji „Laboratorium", hasła dopingujące, żywcem wyjęte z innych systemów, ale wciąż zadziwiająco aktualne: „Program korporacji programem narodu", „Korporacja «Laboratorium» — jedyna droga rozwoju", „Naród popiera programy korporacji". I musiał strasznie się zdziwić, gdy jeden ze szczurów wyskoczył z labiryntu na podłogę i wrzasnął (może za Holoubkiem z tej słynnej i wspaniałej anegdoty ze SPATiF-u): „Nie wiem jak państwo, ale ja wypierdalam".

Trzecia zasada hawajskiej filozofii huny mówi, że energia podąża za uwagą. Nauka z kolei podkreśla doniosłą rolę obserwatora w mechanice kwantowej. Nie powinniśmy rozmieniać uwagi na drobne ani śledzić rzeczy nieistotnych, chwilowych, durnych. Pozbawione tej uwagi znikną, umrą z głodu, bo przecież żywią się właśnie tą naszą uwagą. Nie walczmy z systemami. Walka tworzy i pogłębia polaryzację oraz dualizm, a nas utwierdza w fałszywym przekonaniu, że powinniśmy się nimi interesować. Nie mam telewizora. Nie mam radia. Nieskutecznie staram się, aby nie docierały do mnie żadne newsy z internetu. Czasem kątem ucha usłyszę o tym, co dzieje się w Stanach. Robię wtedy oczy jak pięć złotych.

Album „Cartel Contemporáneo Polaco” Barbary Paciorek



Okładka albumu
Andrzej Żurek *(Kanada)*

Na początku 2009 r. w stolicy Meksyku na wystawie meksykańskich artystów w Poliforum Siqueiros oglądałem, między innymi, plakaty Barbary Paciorek. Zaintrygowany polskim nazwiskiem artystki i jej pracami znalazłem numer jej telefonu i zadzwoniłem do niej. Okazało się, że przyjechała z mężem, Zbigniewem Paletą, znakomitym skrzypkiem (w latach 1970. akompaniował, porywająco, Ewie Demarczyk),

absolwentem krakowskiej Akademii Muzycznej, i dwiema małymi córkami do stolicy Meksyku w 1980 r. Życie tej rodziny w Meksyku to historia dużego sukcesu, sukcesu zawodowego i artystycznego rodziców i córek, w różnych dziedzinach. Pani Barbara, absolwentka krakowskiej ASP, po opanowaniu hiszpańskiego zaczęła uczyć rysunku i grafiki użytkowej w stołecznym Universidad Autónoma Metropolitana Xochimilco. Kiedy się spotkaliśmy, dała mi dwa egzemplarze swojego dzieła, albumu *Cartel Contemporáneo Polaco 1945 – 2006* (Współczesny polski plakat), wydanego w 2006 r. pod auspicjami jej uczelni i Ambasady RP w Meksyku.

Barbara Paciorek-Paleta zmarła przedwcześnie, w 2011 r. Ganię się za to, że nie zająłem się wystarczająco energicznie popularyzacją owocu jej kilkuletniej pracy, wspomnianego wyżej albumu, w Kanadzie. Wprawdzie wysłałem zaraz po powrocie z Meksyku jeden egzemplarz znajomemu artyście, rodakowi, znanemu malarzowi, rysownikowi i plakaciście, który mieszkał w Toronto, z prośbą, aby się z nim zapoznał, a następnie pokazywał go znajomym artystom i swoim studentom (był wykładowcą w jednej z artystycznych uczelni), ale drugi egzemplarz po kilku miesiącach pokazywania go znajomym wsunąłem między albumy i książki i tam utknął. Teraz wyślę go do Montrealu, do Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie lub do podobnej, działającej w Kanadzie instytucji, aby mogła z niego korzystać jak największa liczba osób. (W USA album Barbary Paciorek ma już kilka

instytucji). Nadal jest aktualny.



Strona albumu z plakatami Stasysa Eidrigevičiusa



Strona albumu z plakatami Henryka Tomaszewskiego

*

Album *Cartel Contemporáneo Polaco* ma 174 strony; reprodukcje plakatów zajmują 119 stron. Poprzedzają je następujące teksty:

Barbara Paciorek *De la autora* (Od autorki)

Agnieszka Dydo *Historia del cartel polaco. Del afiche al cartel artístico* (Historia polskiego plakatu. Od afisza do artystycznego plakatu)

Krzysztof Dydo *El cartel polaco. Perla de la cultura polaca* (Polski plakat. Perła polskiej kultury)

Piotr Kunce *Sobre cartel* (O plakacie)

Xavier Bermúdez *Xalapa.Tierra de Wiktor Górka* (Xalapa. Kraina Wiktora Górki)



Strona albumu z plakatami Piotra Kunce



Strona albumu z plakatami Mieczysława Wasilewskiego

*

Plakaty zaprezentowane są w albumie w czterech

częściach:

Mirada (Rzut okiem albo Krótki przegląd). Prawie dwieście miniaturowych reprodukcji plakatów z okresu od 1899 r. do 2002 r. – poczynając od plakatu Stanisława Wyspiańskiego z 1899 r. do dramatu „Wnętrze” Maurice’a Maeterlincka.

Plakat współczesny:

Grandes Maestros (Wielcy Mistrzowie): Franciszek Starowieyski, Jan Lenica, Jan Młodożeniec, Roman Cieślewicz, Waldemar Świerzy, Wiktor Górka, Henryk Tomaszewski

Generación media (Średnie pokolenie): Mirosław Adamczyk, Jerzy Czerniawski, Leszek Żebrowski, Mieczysław Górowski, Piotr Kunce, Mieczysław Wasilewski, Stasys Eidrigevičius, Wiesław Grzegorczyk, Wiesław Rosocha, Wiktor Sadowski, Lech Majewski, Roman Kalarus, Wiesław Walkuski, Władysław Pluta

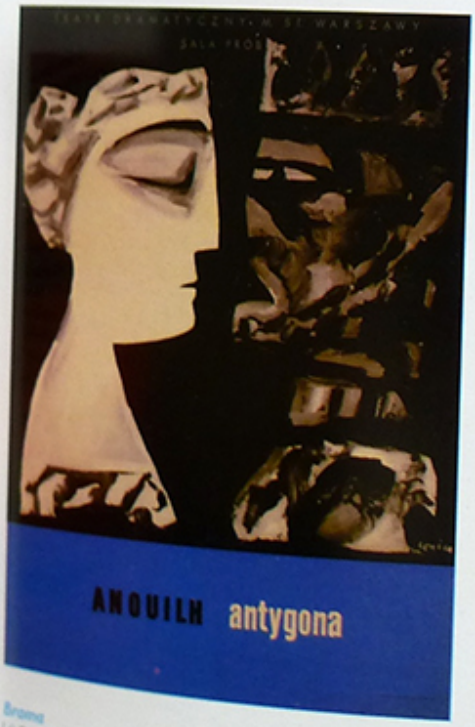
Jóvenes cartelistas (Młodzi plakaciści): Jakub Stępień, Górska y Skakun, Kuba Sowiński, Małgorzata Gurowska, Michał Książek, Monika Starowicz, Sebastian Kubica

W ostaniej części albumu są biogramy zaprezentowanych w nim artystów oraz bibliografia.









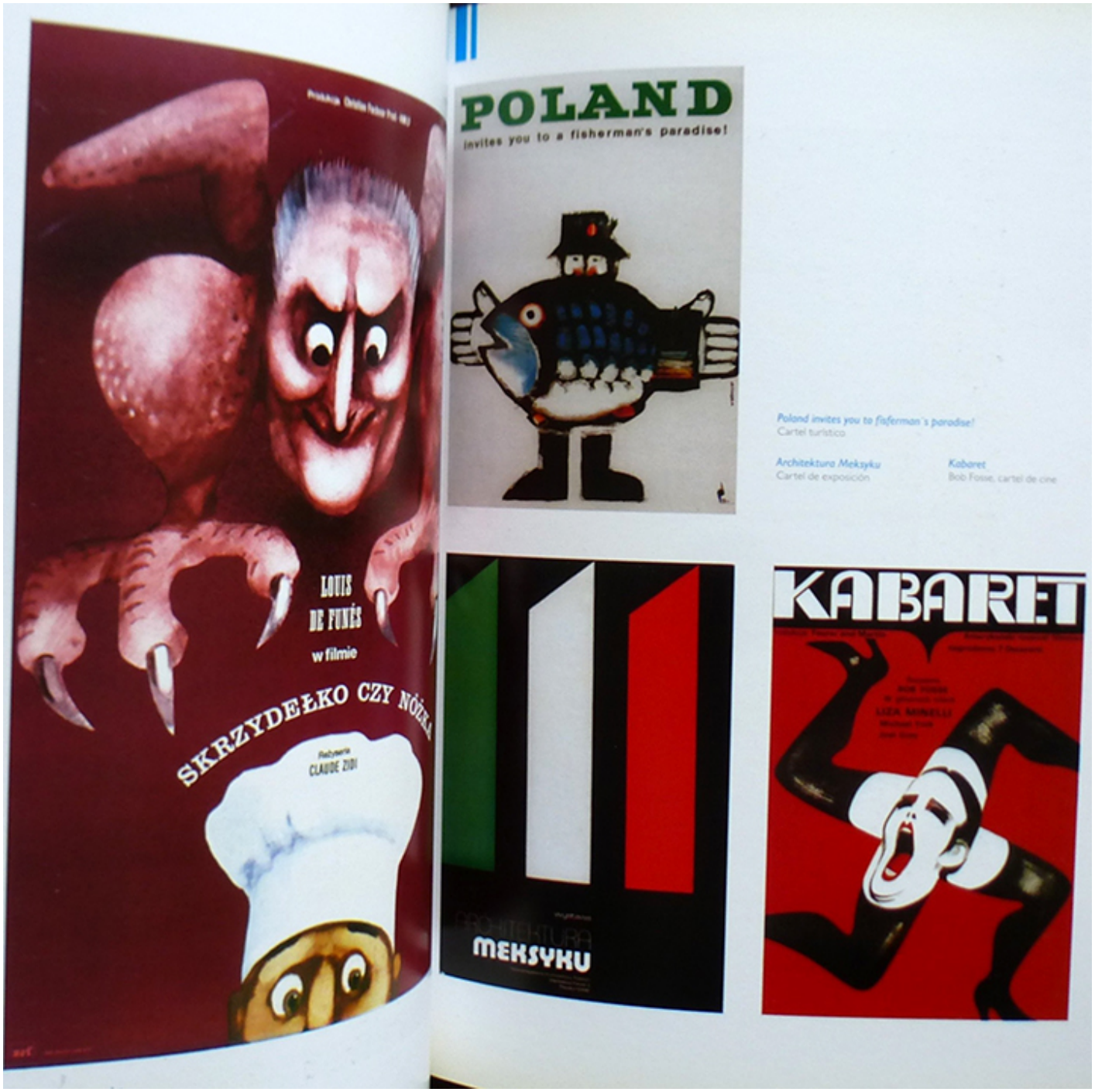


Brama
Lú Pan, cartel de cine

Anouilh (Antygona)
Sofokles, cartel de teatro

Casanova
Fellini, cartel de cine

Strona albumu z plakatami Jana Lenicy



Strona albumu z plakatami Wiktora Górki

*

Polski plakat jest od dawna słynny, polskie plakaty są bardzo

często prezentowane w krajach na kilku kontynentach, polscy plakaciści są lauretami rozlicznych nagród, napisano o nich setki artykułów, w różnych językach, reprodukcje ich prac są w kilkuset katalogach wystaw grafiki użytkowej oraz w wielu albumach poświęconych polskiemu plakatowi, ale w Ameryce Północnej *Cartel Contemporáneo Polaco* był, i chyba do dzisiaj jest, jedynym albumem prezentującym całą gamę tematyczną współczesnego polskiego plakatu, do początku XXI wieku, z kinem i teatrem na czele. W 1999 r. Autry Museum of Western Heritage w Los Angeles wydało razem z oficyną The University of Washington Press z Seattle piękny album poświęcony polskiemu plakatowi, ale tylko z jednej dziedziny i na jeden temat, a mianowicie *Western amerykański: Polish Poster Art and the Western;* ten album wydano w związku ze zorganizowaną wtedy w tymże muzeum wystawą polskich plakatów do amerykańskich westernów z okresu od lat 1940. do 1970.



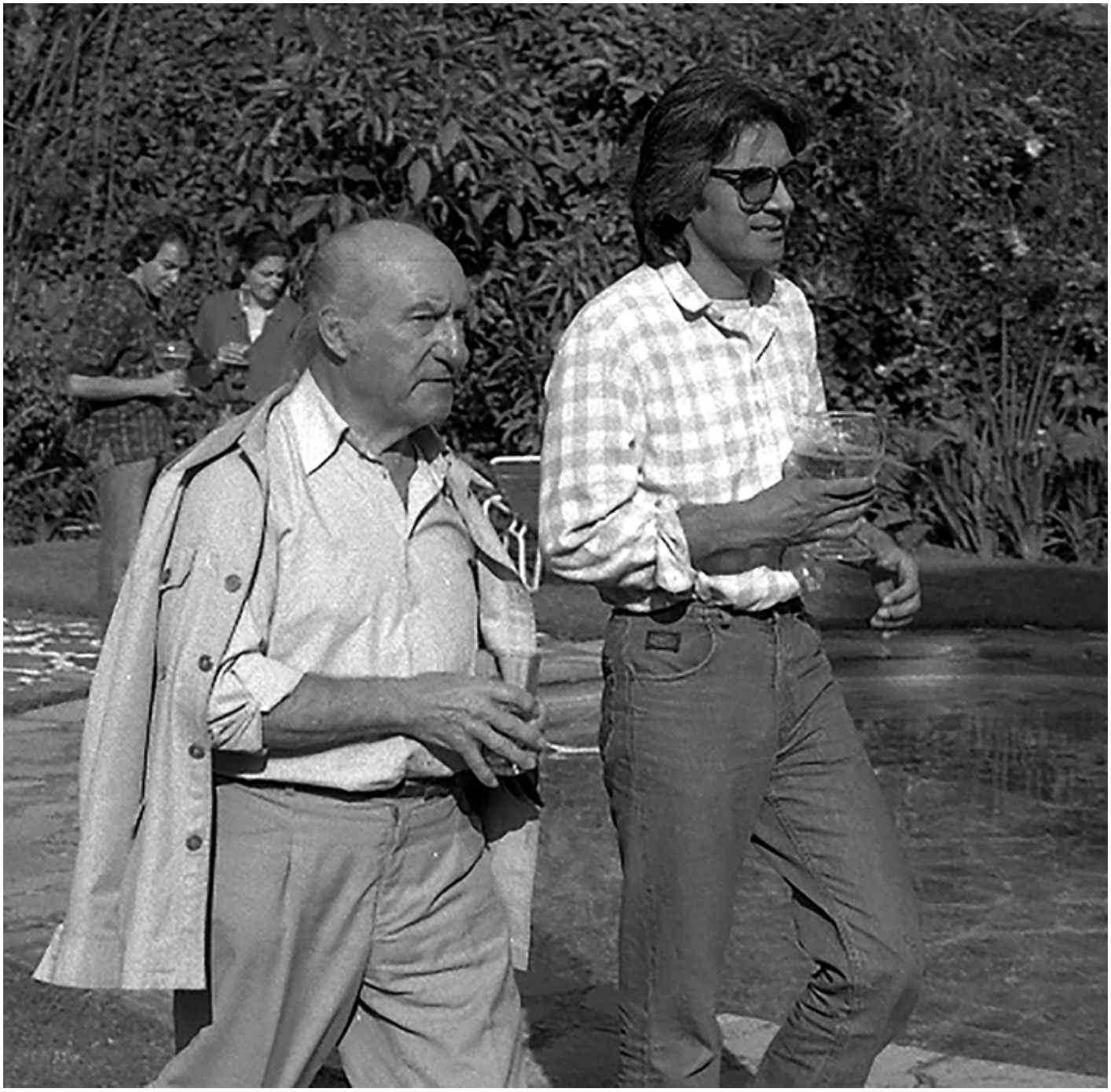
Strona albumu z plakatami Jerzego Czerniawskiego



Strona albumu z plakatami Mieczysława Górowskiego

*

Album *Cartel Contemporáneo Polaco* powstał nie tylko dlatego, że jego autorka urodziła się i skończyła studia artystyczne w Polsce, a w Meksyku zdobyła znaczącą pozycję w dziedzinie grafiki użytkowej. Polski plakat stał się znany w Meksyku już na przełomie lat 1950. i 1960. – wtedy zaczęto mówić na świecie o polskiej szkole plakatu, a do Meksyku docierały plakaty Waldemara Świerzego, Jana Lenicy, Waleriana Borowczyka i Romana Cieślewicza, artystów zaliczanych do tej szkoły, zapowiadające w Polsce filmy wielkich meksykańskich reżyserów ze Złotej Epoki kina meksykańskiego (1936 – 1959): Emilio „Indio" Fernandeza, Roberto Galvadónai Benito Alzavakiego – i przyczynił się do spopularyzowania plakatu artystycznego w tym kraju. Instytucjonalnym potwierdzeniem rosnącej popularności plakatu w Meksyku były wprowadzane na uczelniach meksykańskich zajęcia z projektowania plakatu oraz rozpoczęte w 1990 r. międzynarodowe biennale plakatu: *Bienal Internacional del Cartel en México* – BICM; BICM jest jednym z najstarszych biennale plakatu na świecie i pierwszym w Amerykach. A w 2002 r. powstało Museo Mexicano del Diseño – MUMEDI, czyli Muzeum Wzornictwa, w którym poczesne miejsce zajmuje plakat.



Wiktor Górka i Xavier Bermúdez w Tepoztlán w stanie Morelos w Meksyku, listopad

1990 r., z arch. BICM, fot. Leonardo Crociani, zdjęcie udostępnił

Xavier Bermúdez



Xavier Bermúdez z polskimi przyjaciółmi w mieszkaniu Piotra Kunce w Krakowie, przed 2011 rokiem, od lewej: Krzysztof Dydo, profesorowie grafiki, artyści graficy Władysław Pluta, Mieczysław Górowski, Xavier Bermúdez i Piotr Kunce, zdjęciem udostępnił Krzysztof Dydo

Szczególny wpływ na spopularyzowanie i rozwój plakatu artystycznego w Meksyku miał Wiktor Górka (1922 – 2004), również zaliczany do polskiej szkoły plakatu, który na początku lat 1970. został zaproszony do Meksyku, aby uczyć grafiki użytkowej. (Górka cieszył się już wtedy światową sławą w dziedzinie plakatu artystycznego). Uczył, z wielkim

powodzeniem, rysunku i projektowania plakatu w kilku prestiżowych uczelniach tego kraju, najdłużej w Universidad Veracruzana w Xalapie, przez, łącznie, siedem lat, do końca lat 1990. W 2002 r. podczas siódmego *Bienal Internacional del Cartel en México* został odznaczony prestiżowym Medalem José Guadalupe Posady, legendarnego meksykańskiego rysownika, ilustratora i grafika (1852 – 1913), za wkład w rozwój grafiki użytkowej w Meksyku. Wcześniej, w 1990 r., specjalna wystawa jego plakatów oraz poprowadzony przez niego warsztat graficzny dla wpatrzonych w niego młodych grafików uświetniły pierwsze Międzynarodowe Biennale Plakatu w Meksyku.

Xavier Bermúdez Bañuelos, artysta grafik i muzyk, nauczyciel akademicki, najpierw na Wydziale Grafiki Universidad Autónoma Metropolitana Xochimilco, a potem w Katedrze Sztuk Plastycznych Wydziału Artystycznego Universidad Veracruzana w Xalapie, pomysłodawca i, od początku do dzisiaj, dyrektor BICM, w swoim wprowadzeniu do albumu Barbary Paciorek napisał: „Nie można w Meksyku mówić o polskim plakacie bez nawiązań do Wiktora Górki, naszego nauczyciela i przyjaciela, który swoją pracą i obecnością tu zbratał nasze kraje” i że „Wiktorowi Górce zawdzięczamy wykształcenie wielu grafików w Xalapie i w kilku innych miastach Meksyku”. Bermúdez często wspomina Górkę i oddaje mu hołd. Ostatnio w obszernym artykule *La humilde y alegre creatividad silenciosa de Victor Górka (*Pokora i radość cichej twórczości Wiktora Górki lub

może: Umiar i radość w stonowanej twórczości Wiktora Górki), zamieszczonym w ostatnim w 2025 r. numerze kwartalnika *La Palabra y Hombre (*Słowo i Człowiek), pisma Uniwersytetu Veracruzana.



Wiktor Górka ze swoimi studentami na Wydziale Sztuk Plastycznych Uniwersytetu Veracruzana w Xalapie, listopad 1998 r., z arch. BICM, zdjęcie udostępnił Xavier Bermúdez

Cały numer *La Palabra y Hombre* poświęcono niedawnej historii Polski oraz jej kulturze wysokiej i ozdobiono go reprodukcjami plakatów, kolejno, Andrzeja Pągowskiego, Patrycji Longawy, Elżbiety Chojnej, Krzysztofa Wasilewskiego, Ryszarda Kai, Henryka Tomaszewskiego, Kasi Kubackiej, Lecha Majewskiego,

Jana Lenicy, Joanny Tyborowskiej, Tomasza Bogusławskiego, Kai Renkas, Wiktora Górki, Romana Cieślewicza i Mieczysława Górowskiego. Polska nie po raz pierwszy była głównym tematem w pięćdziesięcioletniej historii tego pisma; w połowie lat 1950. Universidad Veracruzana podjął współpracę z polskimi uniwersytetami i instytucjami kulturalnymi w dziedzinie nauk ścisłych i humanistycznych, więc znajduje to często odzwierciedlenie w treści pisma.

Przytoczyłem słowa Xaviera Bermudeza, że „nie można w Meksyku mówić o polskim plakacie bez nawiązań do Wiktora Górki", ale nie można też mówić o polskim plakacie w Meksyku bez nawiązań do niego. Ten czołowy meksykański popularyzator plakatu artystycznego przyjaźni się z wieloma polskimi artystami grafikami i profesorami grafiki użytkowej, bywa w Polsce i dba o to, aby w każdym większym konkursie plakatu w jego kraju, poczynając od prestiżowego BICM, i w każdej większej wystawie plakatu brali udział polscy graficy, ze starszego i młodego pokolenia. Niedawno, w 2024 r., zainicjował wystawę plakatu z okazji obchodów 95. rocznicy powstania Orkiestry Symfonicznej w Xalapie i 80. rocznicy powstania Uniwersytetu Veracruzana i w hołdzie Wiktorowi Górce. Jej organizatorzy – kierowany przez niego BICM oraz Universidad Veracruzana i Ambasada RP w Meksyku – zaprosili do udziału w niej plakacistów z Meksyku i z Polski – czterdziestu z Meksyku i czterdziestu z Polski i każdego zaproszonego artystę poproszono o plakat na temat

wyznaczonego dla niego instrumentu muzycznego – „aby dać świadectwo twórczej współpracy artystów meksykańskich i polskich”.

Z jednego z oficjalnych komunikatów Universidad Veracruzana na temat tej wystawy: *La exhibición de carteles que celebra el 95º aniversario de la Orquesta Sinfónica de Xalapa (OSX) y el 80º aniversario de la Universidad Veracruzana* […] *Esta colección rinde un homenaje In Memoriam al maestro polaco Wiktor Górka y destaca la colaboración creativa entre artistas de México y Polonia.*

Tę wystawę prezentowano w 2025 r. w kilku prestiżowych instytucjach w Xalapie i w kilku innych miastach Meksyku.



Plakat Kai Renkas do wystawy plakatów zorganizowanej z okazji obchodów 95. rocznicy powstania Orkiestry Symfonicznej w Xalapie i 80. rocznicy powstania Uniwersytetu Veracruzana, w hołdzie Wiktorowi Górce, zdjęcie plakatu udostępnione przez autorkę

Obok Wiktora Górki, Xaviera Bermudeza i Barbary Paciorek-Palety na liście najbardziej „winnych” znajomości i powodzenia polskiego plakatu w Meksyku jest Ambasada RP w Meksyku. Album Barbary Paciorek został wydany pod auspicjami polskiej ambasady i z jej finansową pomocą, polska ambasada od dawna

współorganizuje większość wystaw polskiego plakatu, niektóre z nich zainicjowała. Ambasada RP w Meksyku aktywnie promuje wszystkie dziedziny polskiej kultury. Wiem o tym sporo z własnego doświadczenia, z obserwacji zbieranych podczas częstych, od dwudziestu kilku lat, pobytów w Mieście Meksyk i w kilku innych miastach, z rozmów, z prasy, z komunikatów Ambasady, z katalogów wystaw, z programów targów książki i z programów festiwali kulturalnych, z informacji uzyskiwanych w instytucjach kultury i nauki, na przykład w Cineteca Nacional i *w* UNAM, największym uniwersytecie Meksyku, na terenie którego ma siedzibę kilka znaczących instytucji kultury. Polonia w Meksyku jest nieliczna, ale Polski w Meksyku – dzięki Ambasadzie RP, kilku Polakom aktywnie propagującym w Meksyku współczesną polską kulturę oraz meksykańskim instytucjom i miłośnikom polskiej kultury – jest dużo, i to w najlepszym wydaniu.



Strona albumu z plakatami Franciszka Starowiejskiego



Strona albumu z plakatami Romana Cieślewicza

*

We wprowadzeniu do swojego albumu o współczesnym polskim plakacie Barbara Paciorek napisała:„Mogę powiedzieć, że plakaty, które oglądałam na ścianach budynków, na murach i

słupach ogłoszeniowych w Krakowie jako nastolatka, miały decydujący wpływ na moją decyzję podjęcia studiów w Akademii Sztuk Pięknych. Wtedy też zaczęłam kolekcjonować polskie plakaty i pokochałam je na zawsze".

Wielu Polaków zakochiwało się w plakacie w latach 1950. i 1960. – wiem o tym z własnego doświadczenia. W tamtym okresie na ulicznych tablicach i słupach ogłoszeniowych oraz w gablotach ściennych kin i teatrów „zamieszkała" wielka sztuka na papierze, czyli plakat artystyczny. Pełnił funkcję podobną do afisza, ale był dziełem wybitnych artystów grafików, a także malarzy, autorów fenomenu, który nazwano polską szkołą plakatu. Zachęcał przechodnia do obejrzenia filmu, sztuki teatralnej, do pójścia na koncert, na imprezę sportową, do cyrku, anonsował festiwale kulturalne, zwracał się z apelem w różnych sprawach. Ożywił ulice. Zaskakiwał formą, intrygował, był frajdą dla oka i wyzwaniem dla umysłu. Obok swojej podstawowej funkcji wyrabiał lub wyostrzał zmysł estetyczny. Sądzę, że u wielu Polaków wywołał zainteresowanie sztuką i wielu zachęcił do wizyt w muzeach i galeriach artystycznych.

Byłem jednym z wielu licealistów zbierających plakaty. Chodziłem z kolegą do magazynu Centrali Wynajmu Filmów, aby poprosić magazyniera o plakat do wybranego filmu, plakat, którym już wcześniej się zachwycaliśmy. „A weźcie se chłopaki, ale po jednym" – mówił najbardziej przyjazny z magazynierów.

Inni też pozwalali brać „po jednym”, choć po dłuższych prośbach i z zastrzeżeniem, że „to ostatni raz”, „takich cwaniaków jak wy jest więcej i nie będę was więcej wpuszczał” itp. Ale dalej nas wpuszczali i dawali „po jednym”. Kiedy w 1969 r., po ukończeniu studiów, wyjeżdżałem na rok do Londynu, zabrałem, w solidnej tubie, kilkadziesiąt plakatów filmowych i teatralnych Henryka Tomaszewskiego, Jana Lenicy, Waldemara Świerzego, Romana Cieślewicza, Franciszka Starowieyskiego, Wiktora Górki, Jana Młodożeńca, Józefa Mroszczaka i Macieja Urbańca, żeby obdarowywać nimi i zachwycać czekających tam na mnie przyjaciół oraz Anglików, których miałem poznać.

Zachwycali się, niektórzy już wcześniej zetknęli się z polskim plakatem, między innymi w londyńskiej galerii sztuki Mateusza Grabowskiego, zamożnego polskiego farmaceuty, pasjonata malarstwa i grafiki. Bo polski plakat „ruszył w świat” wcześnie, na przełomie lat 1940. i 1950., polscy plakaciści zbierali nagrody na międzynarodowych wystawach grafiki użytkowej, często o nich pisano, nie tylko w fachowych magazynach. W Polsce powstały pierwsze instytucje, które „legalizowały” plakat jako dzieło sztuki: w 1965 r. krajowe Biennale Plakatu w Katowicach, w 1966 r. Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie, w 1968 r. Muzeum Plakatu w Wilanowie. A w 1985 r., z pokaźnej kolekcji plakatów Krzysztofa Dydo, krakowskiego pasjonata grafiki użytkowej, powstała Dydo Poster Gallery, która, ciągle rosnąc, popularyzuje plakat artystyczny w kraju i za

granicą w takim stopniu, jak wcześniej wymienione instytucje.



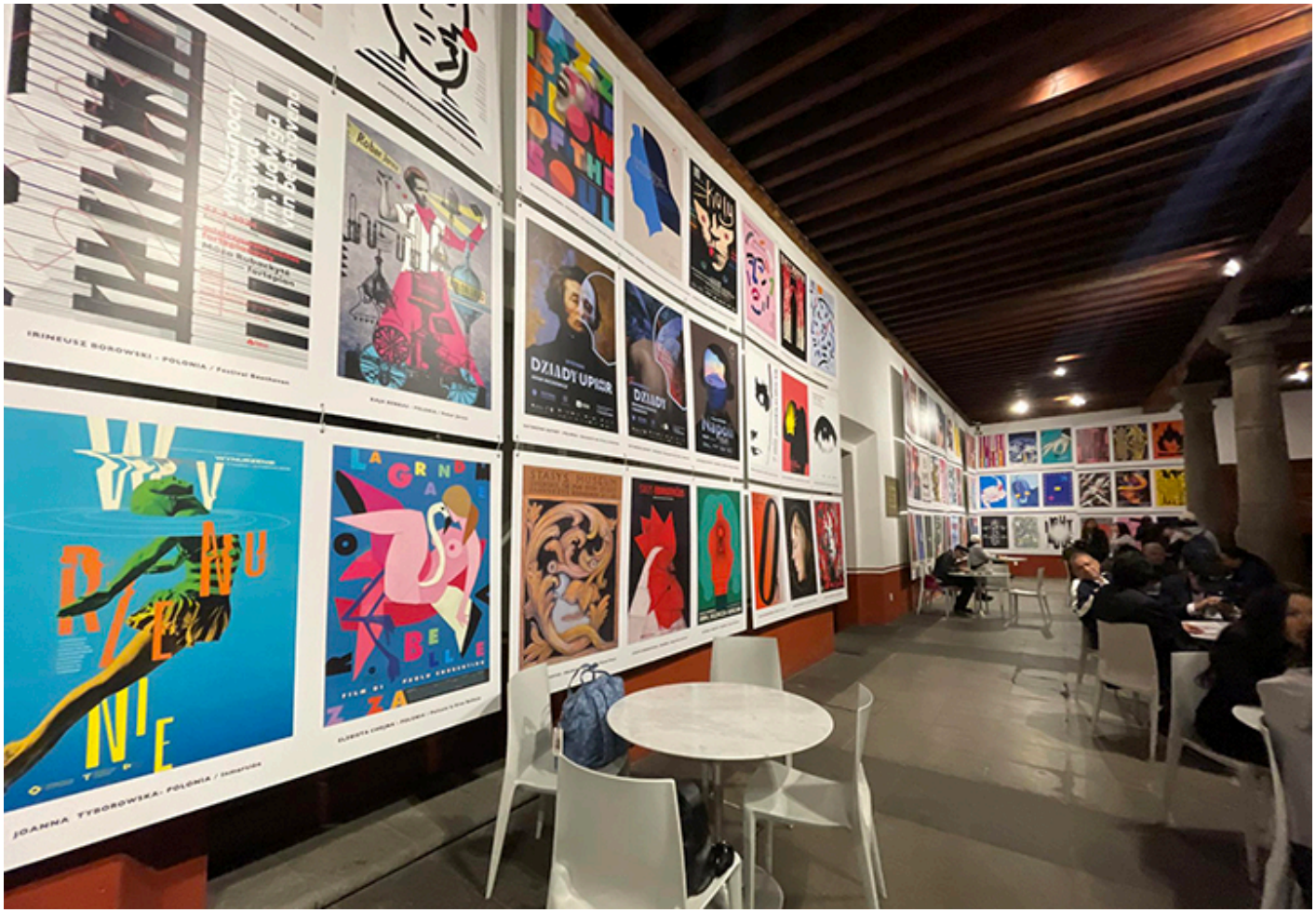
Strona albumu z plakatami Waldemara Świerzego

Wiadomo, że artyści wymienieni przez Barbarę Paciorek w częściach albumu zatytułowanych „Średnie pokolenie” (już nie jest średnie) i „Młodzi plakaciści” (już nie tacy młodzi) zdobyli, niektórzy dalej zdobywają, sławę i laury równe tym, jakie zdobywali Wielcy Mistrzowie. Zdobywają już laury następni

twórcy plakatów, na przykład (według mojego rozeznania): Agnieszka Ziemiszewska, Patrycja Longawa, Karolina Podoska, Jakub Zasada, Joanna Tyborowska, Michał Batory, Agnieszka Węglarska, Elżbieta Chojna, Krzysztof Iwański, Kaja Renkas, Justyna Jędrysek (wydaje mi się, że od jakiegoś czasu w czołówce plakacistów jest najwięcej pań). Moje, amatorskie, oko mówi mi, że są oni kolejnymi następcami grafików i malarzy z polskiej szkoły plakatu: odznaczają się artystycznym kunsztem, spostrzegawczością, fantastycznymi skojarzeniami, kapitalnym poczuciem humoru, umiłowali metaforę, każde z nich ma swój styl, wszystkim udaje się unikać banału. No i z ich prac, tak jak z prac poprzednich pokoleń polskich plakacistów, przebija oczytanie i obszerna ogólna wiedza. To wszystko sprawia, że są one nie tylko piękne, ale równie często jak plakaty ich poprzedników trafiają w sedno sprawy.



Bienal Internacional del Cartel en México, Museo Franz Mayer, Mexico City, 2024 r., fot. Peng Yun



Bienal Internacional del Cartel en México, Museo Franz Mayer, Mexico City, 2024 r., fot. Peng Yun

Uwagi dotyczące albumu Barbary Paciorek oraz artykułu:

– Nie ma w albumie *Cartel Contemporáneo Polaco* pośród Wielkich Mistrzów (zwanych powszechnie artystami polskiej szkoły plakatu) Wojciecha Fangora, Józefa Mroszczaka i Macieja Urbańca, a pośród artystów średniego pokolenia Rafała Olbińskiego, Jana Sawki, Andrzeja Pągowskiego i Ryszarda Kai. Przyczynę pominięcia tych artystów znalazłem w następującym fragmencie wprowadzenia Barbary Paciorek do swojego albumu: „Stworzony przeze mnie album nie ma na celu oceny ani analizy

twórczości polskich plakacistów. Jest raczej dokumentacją osiągnięć czterech pokoleń polskich plakacistów. Choć starałam się być obiektywna w doborze plakatów – a wybór nie był łatwy – niewątpliwie są w nim ślady moich osobistych preferencji".

Ponadto album nie mógł mieć dowolnej ilości stron. Reprodukcje plakatów wybranych Mistrzów są na czterech lub sześciu stronach (od siedmiu do jedenastu plakatów); artystów średniego pokolenia – na czterech stronach (od pięciu do siedmiu plakatów); młodych (wówczas) plakacistów – zwykle na dwóch stronach (cztery lub pięć plakatów). I dodatkowa, ale ważna uwaga: album został starannie i pięknie wydany. Ma rozmiary 23 x 30 cm.

– Napisałem sporo o spopularyzowaniu plakatu w Meksyku i o polskich plakacistach, ale nic nie napisałem o meksykańskich plakacistach. Poproszę p. Xaviera Bermudeza o rozmowę na ten temat. I na temat plakatu artystycznego w innych krajach Ameryki Łacińskiej, w tym roli polskiego plakatu.

Zdjęcia plakatów w albumie pochodzą za zbiorów Dydo Poster Gallery.

*

Zobacz też:

> Polski plakat podbija świat

> Pasjonat

> Plakat jest moim żywiołem